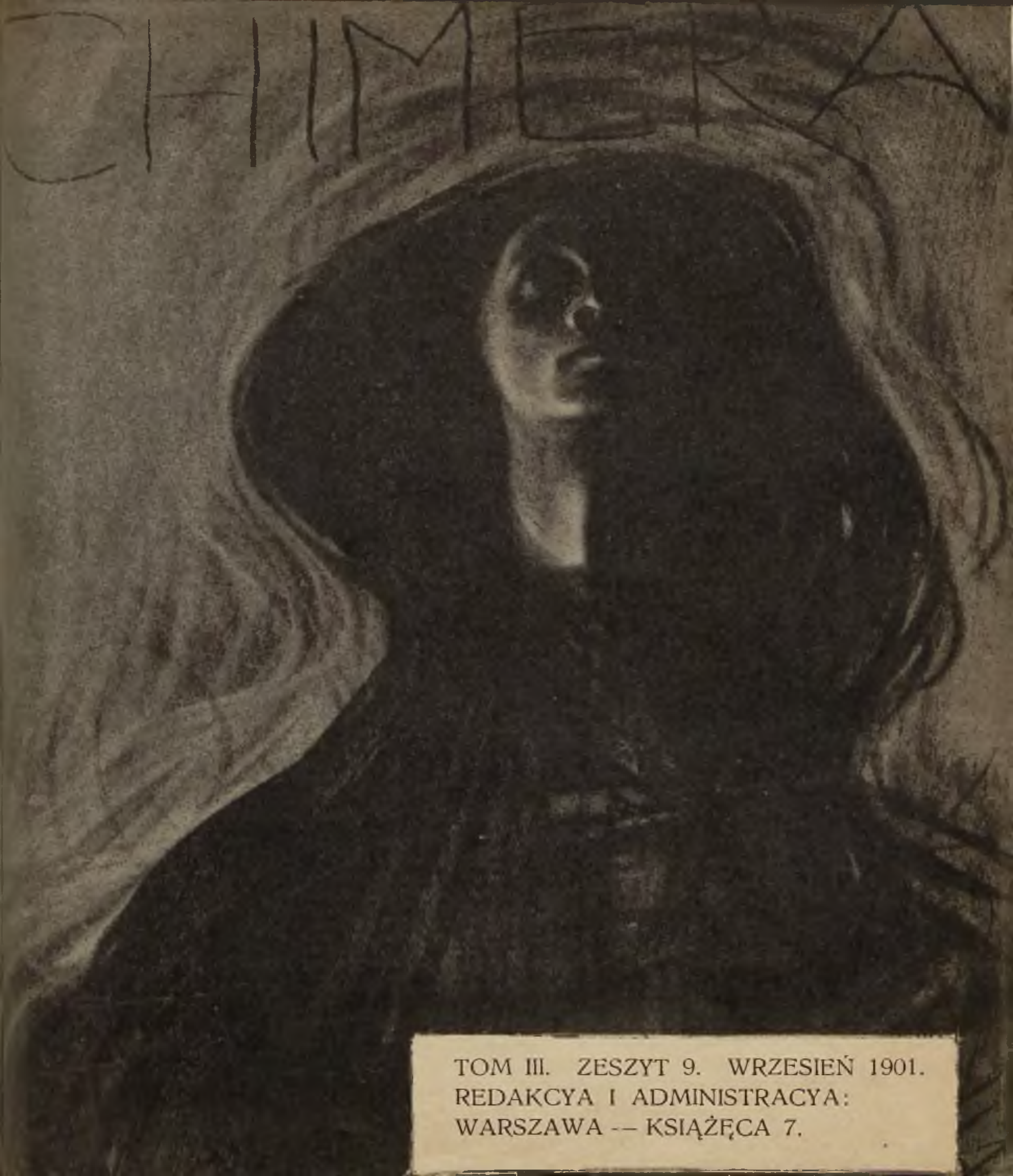


TOM III. ZESZYT 9. WRZESIEŃ 1901.
REDAKCYA I ADMINISTRACYA:
WARSZAWA — KSIĄŻĘCA 7.

TREŚĆ.

№ 9. — WRZESIEŃ 1901.

Klisze rysunków wytrawiono w zakładach: B. WIERZBICKIEGO i S-ki, KIPMANA i SZYDŁOWSKIEGO, oraz w Warsz. Tow. Akc. Artystyczno-Wydawniczem.
Papier wyrobiono dla Chimery w fabryce C. A. Moesa „Pilica.“
Składali: FELIKS DĄBROWICZ i MAKSYMILIAN HECKER.
Łamał FELIKS DĄBROWICZ. Odbijał na maszynie ALEKSANDER TATAROWSKI.
Pod zarządem JÓZEFA LENARTOWICZA.

Дозволено Цензурою. Варшава, 17 Апрѣля 1902 года.



CHIMERA.

Chimera

TOM TRZECI. LIPIEC — WRZESIEŃ 1901.
WARSZAWA, KSIĄŻĘCA, 7.

Babie lato.

Snuje się, snuje babie lato,
Po rżysku płynie, po zagonie,
I blaskiem dziwnym w słońcu płonie
Cieniuchna, mleczna nić —
Wrzeciono oto z bajki chwyć,
By wić przędziwo srebrne, wić!

Pajęcza nić,
Zaklęta nić,
Czepia się łodyg zwiędłej trawy,
Ostatni maku kwiat jaskrawy
Osrebrza cały i oplata;

Tam — gdzie ostróżki fioletowe
Na złocie ścierni haft swój kładą,
Niby błyszczący szych ulata,

By tej jesieni smętnej szata
W barwy mieniła się tęczowe;

Tam, na puszystą ostu głowę,
Na koniczyny czerwień bladą
I na piaszczyste, hen, rozłogi,
I na dziewanny szare kiście —
Gdzie kwiat ostatni lśni ogniście —
Gdzie się przegonów ciągną smugi,
Gdzie się grusz starych cienie kładą,
Na ich gałęzie rosochate,
Na ten pas miedzy — wązki, długi,
Na szare stogi, sterty płowe,
Tam, na zagaje, na dąbrowę,
Aż do tej wody, do tej rzeki,
Na mokre łąki, na bagniska,
Gdzie się ta trzcina chwieje ślizka,
Gdzie tataraki, wodne ziele —
Tak się to srebro żywe ściele,
Jedna za drugą mleczna nić —
Wrzeciono oto z bajki chwyć,
By wić przędziwo srebrne, wić!
I płynie nić,
Zaklęta nić...

A śladem za nią, na ścieżyny,
Co się wśród pola bielą znaczą,
Pod tych niebiosów błękit siny,
Za bladą nicią tą tulaczą,
Nadpływa dusza —
Żalem gnana,

W dalekie echa zasłuchana,
Z tęsknicą cichą.

Gdzie się na miedzach oset chwieje,
Łodyg cykoryi szare pęki,
Srebrne piołuny i bylice —
Pobladłe zwraca, smętne lice,
To jej marzenia, jej nadzieje...
Uwiędłe ziele...
I tylko wiatr
Roznosi jęki,
Trawami chwieje,
I nić się snuje,
Duszę chwyta
— Taka w niej siła niespożyta —
Ta zwiewna nić, tych wspomnień nić.

Ugorem przeszły znojne pługi,
Połyska w słońcu ziemia czarna,
Jeden za drugim zagon długi,
Na nowe plony, nowe ziarna.

Po skibach płynie, tam, powoli...
I krwi, i potu tyle, łez,
Na tych zagonach, na tej roli...
Bez zbiorów siewy...
Znojów kres,
Już kres!
I innym trud — a żal...

Z powietrznych cichych płynie fal
— Ani jej zerwać, ani skryć —
Ta srebrna nić, tych znojów nić.

Och!
To jakiś polem przeszedł jęk,
To jakiś ziemią wstrząsnął szloch,
Daleko hen
Zatoczył krąg,
Niby na wodzie te koła,
I tam od łąk,
W poszumach trawy,
Głos idzie łzawy,
I woła,
I łka!

Z poszumem wiatru
Jedno imię
Jękiem nadleci,
Jak olbrzymie
Ziemi westchnienie — polem wieje,
Aż mu zawtórzą echem knieje,
W wierzbach zahuczy, w rokicinie,
W mgłach nieuchwytnych się rozpłynie
To jedno imię — jedno imię...

Przędziwa nić,
Pajęcza nić,
Drży tem imieniem —
Żal, tęsknica,
Zaduma wstaje bladolica,

Powraca znów...
Powraca znów
Niezapomniana jedna nuta,
Z zaprzepaszczonych lat wysnuta,
Ta nić, ta srebrna nić —
Płynie nad polem, z wiatrem leci,
W jesiennem słońcu skrzy się, świeci
Ta dziwna nić,
Ta nuta,
Z przeszłości mgieł wysnuta,
Na życie całe
— Jak pokuta
Zaprzepaszczonych dawnych dni —
Omota duszę i pochwyci:
Taka w niej siła,
Taka moc
W pajęczej wątłej nici!

Niema boleści w niej, rozpaczy,
A smętek jeno, zadumanie,
Jakieś w przeszłości rozkochanie,
Tej — promienistej, pełnej dum...
Orłowe loty,
Skrzydeł szum,
I duchów moc...

I tak się czepia nić zaklęta,
Oplata duszę —
Wie, pamięta:
— To było, to było już.

Od liliowych wrzosów wstaje
I płynie, płynie na rozstaje,
Gdzie krzyż spróchniały czarny stoi,
Gdzie się czerwienią brzeźniak stroi,
Kamienie wielkie leżą...
I huczy wicher po przez łany,
Niesie przędziwa szmat stargany...

O życie! biedne życie...

I tak się czepia nić zaklęta,
Oplata duszę — wie, pamięta:
— To było... to było już...

Po tych ścieżynach, co się znaczą
I złem, i dobrem — i rozpaczą,
I słonecznemi smugi —
Nadpływa dusza...
Żalem gnana,
W dalekie echa zasłuchana,
Z tęsknicą cichą.

Cicho...
Niech płynie ugorami,
I ornem polem, i łąkami,

Gdzie się wysrebrza wstęga rzeki
W starej wierzbiny zżółkłej ramie,
Gdzie rokiciny szum daleki,
Gdzie się echową skargą łamie
Fujarki nuta;
Gdzie z kotliny
Na pole dym się wlecze siny,
I szary kamień miedzy strzeże,
I majaczeją stare wieże
W bezchmurnym, jasnym nieb błękicie.

Cicho...
Niech w dawne płynie życie...
Niech się rozświetli, niech roztęczy
Ten szlak, utkany z mgły pajęczej,
Litosnych Maryi rąk robota.
Niech się ta droga wije złota
Bez szarpiącego wspomnień jęku,
Bez krwi zapiekłej z dawnej rany,
Bez tej rozpaczy,
Tej bez słowa,
Co się w grobowem: nigdy! chowa,
Bez zgrzytu struny potarganej,
Bez żalu i bez lęku...

Cicho...
Niech drogą płynie białą —
Już przeminęło, już się stało...
Uwiędły liście...
Było... było...
Mgły się wieszają nad mogiłą,
Pogodny zachód, jasny, złoty...

I rzewność jeno, zadumanie,
I smutku powiew i tęsknoty,
I przedwieczorne zasłuchanie,
I zachód jasny, cichy, złoty...
I tych pajęczych nici sploty,
I chłodnych kilka ros na ręku,
I tylko jeszcze dumać... śnić...

Bo płynie nić,
Pajęcza nić,
Zaklęta, dziwna nić!..



Marya Markowska.

Próchno.



W chwili gdy Jelsky wychodził na ulicę, łuna pożaru tliła się jeszcze na niebie. Długie wycia i skomlenia świstawek fabrycznych zwiastowały ciemnym przedmieściom świt. Ledwo dostrzegalna mgła zmywała kamienice i bruki niby deszcz ulewny. Ostra woń miejskiego poranku: zapach wilgoci, alkoholu i świeżego pieczywa. Śródmieście usnęło nareszcie i cisza legła na pustych ulicach. Gdzieniegdzie tylko oświetlone sutereny; wewnątrz, białe, jak cienie snujące się postacie, i ten ckliwy zapach ciasta i drożdży. — Jelsky wypróżniłby w tej chwili kieszenie za filiżankę czarnej kawy, ale kawiarnie były już zamknięte, czy też jeszcze nie otwarte. Czuł oskomę w gardle i obrzydliwą niemoc w członkach. Księżyce lamp elektrycznych ćmiły się ponad ulicą już tylko zrzadka gdzie-

niegdzie rdzawem, ceglastem jaśnieniem. — „Ta oszczędność magistracka! — gniewał się Jelsky. — Ludzie, — filozofował wnet potem, — powinni żyć i spać naprzemian. To regularne zamieranie życia z tej tylko racyi, że słońce zaszło, przypomina stare przesądy i jest resztką melancholii poczciwego żywota naszych dziadów.“

„Kawiarni!“ — dopominało się w nim jakieś rozprzężenie wewnętrzne.

Po za olbrzymiemi szybami narożnych wnętrzy widniały jeno pociemku fantastyczne rumowiska krzeseł na stolikach. I tam tlił się, gdzieś w kącie, tylko jeden płomyk gazowy, rzucając, między te ruiny i na zgasłe, zmatowane lustra, tajemnicze żółte smugi. „*Tiens!* — Jelsky zatrzymał się bezwiednie, — w takich wnętrzach pokutować powinni samobójcy miejscy.“ Popatrzał, podumał, laseczką w bruki podzwonił i poszedł dalej. — Tuż za rogiem ulicy, wparte w węgieł, zadrzemane i jakby przylepione do muru, czyhały maruderki nierządu. „Mors syphilitica“ — przypomniało się zkądciś Jelsky'emu i stanęły mu przed oczyma ludzkie kalectwa. — Na przedmieściach wyły bez przerwy świstawki fabryczne. Jelsky'emu zdawało się, że słyszy suchy, suchotniczy kaszel wyschłych, zapracowanych kobiet, rzucających obfite pomioty żółtych, wzdętych i rachitycznych dzieci, zalegających jak robactwo przedmiejskie zaułki.

„Kawiarni!..“

Odpiął kołnierzyk i schował go do kieszeni, nastawił natomiast kołnierz sakpalta, zsunął cylinder na czoło, wcisnął ręce do kieszeni. Rój czarnych, dokuczliwych myśli przepłaszał upartem nuceniem miłosnej piosenki:

Nietoperze ro-o-jem
Resztę krwi mej piją...

„Trzeba pisać sprawozdanie o Yvetce!..“

Ryk sygnałów fabrycznych zgłuszyły odległe, ponure grzmoty. Jelsky zmieszał melodyę i zaśpiewał w takt tych łoskotów dalekich:

Et du fer pour travailler...

. . . .

„Ça ira, ira, ira!..“ — biły młoty parowe na przedmieściach.

Jelsky potknął się o coś białego. Podniósł z trotoaru wachlarz, obejrzał i powąchał go. „*Lilas de perse fleuri...* Lubię!.. której to z nich tak pachniały ramiona?.. Zaś ona pachnie z gospodarska wodą kolońską, co przypomina bóle zębów, migreny, rekonwalescencye po cięższych wypadkach porodów... Dziwię się, jak mąż mógł to znosić!“

Słychać wreszcie pierwszego przechodnia. Zbliżają się jakieś ciężkie, brutalne kroki. Jelsky, machinalnym ruchem, chowa wachlarz za pazuchę... Nie mundur wszakże, ale ubranie cywilne, co wzbudza w Jelskym grymas niesmaku.

— Gdzie się paliło?

— Nie wiem, — brzmi twardo wyniosła odpowiedź. Błysk oczu czujnych, podejrzliwych, i kroki oddalają się powoli. — „Majestat! — mruczy za nim Jelsky. — Król ciemności! Chamstwo węch ci zepsuje, nie wytropisz nic.“

Ledwo ten znikł na zakręcie, a tuż po za Jelskym, jakby z pod ziemi wyrosła, zjawia się baba w ciemnej chustce i ciągnie za sobą małego wyrostka o długich kruczych włosach. — „*Signor! signor! — c'è..!* — słyszy za sobą Jelsky włoską mowę i obrzydliwy porozumiewawczy syk. Odgadując zamiary, rzuca im krótkie: „*va via!*“ — Przypomina sobie wachlarz i rzuca go im. Matka z dzieckiem dopadają do tego kęsa jak dwa psy.

„Jak te szelmy rzeźbiarze podle opłacają swych modeli!.. Także ofiary sztuki, — *tiens!..* Chłopczyk wyku-

ty z kamienia zdobi prawdopodobnie, jako duszyczka, mogiłę niejednego opryszka lub kokoty... *Ars longa, vita brevis*...“

Jelsky rozłożył ramiona i ziewnął na całą ulicę.

Cisza, pustka i senność wilgotna wokół, a jednak czuć budzący się gdzieś ruch; ucho nie słyszy, lecz odgaduje, z ciężkiej atmosfery oczekiwania wyławia jakieś westchnienia, szepty pacierza, prężenia zmęczonych członków; jak gdyby pod te ustawiczne obmierzłe świstki fabryczne rozbudziły się wreszcie i kamienie w brukach. Nagle...

Ave Maria, gratia plena...

Ciche, pośpieszne dzwonienie, jakby skowronkowy pierwszy wzlot przed świtem. Sygnaturka rozkołysała się, drga, bije, trzepoce się jak ptak...

Ave Maria, gratia plena...

A tam na przedmieściach walą już młoty pociemku, huczy i dudni już praca.

Jelsky zapalił cygaro, rozpiął palto, rozpiął kamizelkę, zdjął cylinder: coś tłoczy, dławi, dusi poprostu... „Przecież, u Boga, ta Borowska nie jest dziewczyną! A ja mam wrażenie, jak gdybym krzywdę dziecku...“

„Kawiarni!!..“

Na krańcach miasta rzucały pierwsze pociągi w nocną mgłę długie płaczliwe skowyty.

„*Pierwsza beczka!* — krzyknął jaskrawy szyld na mętnie oświetlonych drzwiach małego szynku. Jelsky, nie na-

myślając się, skoczył do izby ciasnej i cuchnącej jak słodowa piwnica. W brudnem świetle zakopconej lampki, kilka ciężkich, fałdami szerokich bluz twardo zarysowanych sylwetek. Mgła, para czy też mętna zadymka oddalała ich zaspanym oczom Jelsky'ego w głąb daleką i bezbarwną. W pośpiechu, na stojączkę, wlewali w siebie pierwszą dawkę dziennej trucizny. Jelsky siadł za stołem, dmuchnął w pianę podsuniętego kufla, skrzywił się i kazał sobie zgotować czarnej kawy.

— Gdzie się paliło? — ziewnął niedbale.

— Składy drzewa nad kanałem... Dwóch ludzi upiekli... żonatych.

— Kto taki?

— Juścić straż... A od czego ona zresztą?.. Może i tamci dwaj byli ubezpieczeni na żydowski dochód. Pożar to jest intratna rzecz. — Suchy, ochrypły i zły śmiech kilku basów, jak zgrzyt trybów w maszynach, plusk białej piany o kamienną posadzkę i ten zaduch chmielu, duszny, jadowity.

Dano wreszcie kawę, i Jelsky odnalazł myśl swoją.

„Taki ja dobry jak i Kunicki! — rozmawiał ze sobą, gryząc nerwowo ogarek cygara. — Oszczędzam zresztą jego wątłe siły nerwowe i ratuję karyerę... Ty zaś mógłbyś adresować swój testament imieniem, ad personam, a nie pisać go jako list otwarty dla ochotników... Przedewszystkiem spaliłaby się, gdyby nie ja, — przez tę lampę. Następnie, ktoby ją docucił? kto dałby niezbędne dla rozpaczy echo? kto otrząsnąłby z tego odrętwienia w tumanie nieszczęścia? z tego lęku przed skupieniem myśli? z trwogi jakby nie przed tem, co się stało, lecz, że coś podobnego stać się wogóle może?.. Ochotnik musi mieć stalowe nerwy!.. A potem to zatrzepotanie się kobiece: „pobiegnę! wstrzymam! uratuję!" W czyichś oczach mu-

siała przecież wyczytać odpowiedź rzeczywistości: „nie wróci, nie cofnie się, wrócić nie zechce i nie może.“

Jelsky wspominał. — Gdy myśli przyniosły mu powtórzenie własnej wymowy, rozchmurzyła się nieco twarz, wyobraźnia zagrała żywiej, jędrniej, kapryśniej. Toć przemawiał jak Oktawiusz:

— „Jednakże Brutus był to dzielny mąż.“ — „Ja nie przeżyję! ja żyć nie chcę!“ — „Jednakże Brutus był to dzielny mąż.“ — „Boże, mój Boże, co ja pocznę!“ — „Jednakże Brutus był to dzielny mąż.“ — „I co ja mu złego zrobiłam? za co? za co on mi życie zniszczył?!..“ — „Jednakże Brutus...“ — „O, wy wszyscy jesteście jednakowi!“

Chwała Bogu: „my“! To rozszerza pocieszająco widnokręgi. A więc my: — „My...“ Jak ona serdecznie, jak poczciwie i bezradnie płakała!.. „Pani, pani Zofio! — przyjaciele, obrońcy...“ — „O, wy jesteście..!“ Jak ona okropnie płacze! A więc znowuż „my“: — „My...“ — „Niech pan idzie, niech pan natychmiast odejdzie! Ja w tym stanie, w takiem ubraniu nie powinnam być z panem.“

Jelsky zatarł ręce. Ta literacka projekcya niedawnych wydarzeń dała mu zupełnie niespodzianie podniety i sensacye silniejsze niemal od samego faktu. „Ta scenka miała przecież w sobie kapitalne smaki,“ — przyznawał we wspomnieniach. Bawił się więc myślą, przeplatał swe wspomnienia dopuszczeniami wyobraźni:

Jak to biedactwo bać się musi samotności, jak drży na samą myśl o niej. Ta wczorajsza jeszcze Zochna, którą układano prawdopodobnie do łóżeczka, dziś sama jedna, samiutka, w tem wielkiem, obcem mieście!

Bo miasto musi wszakże być rzeczą straszną dla Zochny?

...Ulica długa, długa... pełna światła, połysków, barw... ścisk, tłok, turkot. — Nie widać nic. I te toalety!

Je-jej, jakie toalety! Tam, naprzykład, w powozie. Hm! hm! — dziwi się Zosia. — Czarnych, poważnych panów tyle, — i tych paskudnych, co kobiety zaczepiają. — O, jest „taka“ kobieta; — druga, trzecia... Boże wielki, żeby mnie kto nie wziął za „taką.“ — I Zochna poprawia pewno co rusz woalkę i kapelusz. I te wystawy sklepowe! Gdy się idzie bez męża, nie można się nawet wcale zatrzymać przed sklepem, bo zaraz wezmą za taką... O, spojrzał na mnie jeden pan, drugi, i tamten — nieśmiały. Obejrzał się raz jeszcze. I ten oto paskudny oczy wytrzeszcza. Władekby ci dał, — no?.. „Włada, Właduś, czy ja dobrze dziś wyglądam? Czy ładna jestem? Która ładniejsza: ja czy tamta w powozie?.. Lubisz mnie... A co więcej lubisz: usta, oczy, czy też?.. Patrz, jaki tam ładny szlafroczek w wystawie! O-jej!.. Co więcej lubisz, Włada: włosy moje, czy też...“ „Zocha, nie pleć!“ — „Właduś, wiesz, ja rada jestem: tak wesolo!.. Patrz-no, patrz, tam w sklepie: jaką to niektóre bieliznę noszą. Czy przyzwoita może także...? Włada, kup mi taką. Albo nie trzeba, bo pieniędzy niema. Szkoda, że niema pieniędzy! Ale kup mi za to ciastko... albo lodów... albo szampana. O, to drogie, prawda! — nie można szampana. Chcę... chcę... — sama nie wiem. Zafunduj dorożkę. Albo nie, — pocałuj mnie lepiej.“ — „Zośka, nie psoć na ulicy, bo ludzie śmiać się będą.“ — „Niech się śmieją, nie boję się wcale, nic! — woła Zośka rezolutnie i tuli się, tuli do ramienia męża. — Patrz, Włada, tamten już czwarty raz naprzeciwko nas idzie. I jak śmiesznie patrzy! Właduś, ja zrobię na niego oko, — można?.. Wiesz, Włada, co? niektórzy pewno myślą: że ja jestem taka, a ty z tych paskudnych... Widzę, że ja się tym niemcom coś bardzo podobam... Cieszysz się, Włada? Ja się cieszę!“

Takie to, — myślał Jelsky, — odkrywcze podróże w obce, wesołe światy odbywała prawdopodobnie Zośka,

spacerując z mężem po ulicy. Ale samej wyjść na miasto: „brr!“ — A teraz rozpacz i lęk samotności rysuje jej tą samą ulicę w ciemnych, ponurych i wrogich barwach. Sama jedna! Boże, co ona pocznie sama w czynnym wirze tych obcych, frasobliwych i zimnych jak metal twarzy. Tak myśli prawdopodobnie i drży jak liść osiny. „Zginę, przepadnę! Ja jestem słaba, niedołężna... O, ja jestem do niczego.“ Nie, nie tak mówić nie należy. Ona jest tylko prawdziwą kobietą. To jest takie nowe, takie wyjątkowe! takie fenomenalne! To się powinno cenić jak skarb najdroższy życia, wielbić jak... Jednakże Brutus był to dzielny mąż.

„Niedobry! niedobry!..“ Szlocha, skarży się, żali, pieści niemal tym płaczem. Z jaką bajeczną naiwnością, jak cudownie i pieściwie kocha ta kobietka samą siebie. Przecież to jest nadzwyczajny materyał na pyszną namiętnicę. Tam do dyabła! to się ceni rzeczywiście .. „Samotność dla kobiety w obcem mieście jest gorszą od piwnicznego grobu. Na bulwarach, każde męzkie spojrzenie to oczy pająka; po zaułkach jakieś mroczne, ponure życie: podejrzenia, policya, gnuśne knowania występków, areszty, cyrkuły, śledztwa. W domu zaś, po pokojach, wałęsa się duszna, złowroga cisza, z każdego kąta wypełza cień jak płaski gad i ostrem spojrzeniem pyta: co ty poczniesz? co poczniesz ze sobą?.. Jednakże Brutus...“ — „O, podły!“

„Samotność dla kobiety jest zgoła rzeczą straszną, wszakże Oktawiusz... Nie trzeba wzbraniać przyjacielowi rączki...“ — „Ja jestem taka biedna, taka biedna, panie Jelsky!“

Chwała Bogu: „panie Jelsky.“ To zwęża pocieszająco widnokręgi. Za serce chwytający cichy żal wyczerpanego płaczem dziecka. „Pani jest dzieckiem, dobrem, najlepszem, biednem i nieszczęśliwem dzieckiem.“ — „Pa-

nie Jelsky, ja już sił nie mam... Boże, i te moje włosy. Niech pan na mnie nie patrzy.“ I jakby w tem bezwładnem oparciu się o niego, w poczuciu ludzkiej obecności, znajdowała nieco spokoju. „Niech pan puści rękę. Ja wiem, że pan jest dobry, zacny, poczciwy... Nie! nie klękać! Na miłość boską, co pan robi! Ja wcale nie jestem warta, żeby mnie kto!..“ — Ostatnie zerwanie się głębokiego piersiowego płaczu.

„Pani, pani droga!.. pani Zofio!.. dziecko!.. biedna *Zocha*.“

„Panie Jelsky! mój panie Jelsky!..“

W ckliwej i dusznej atmosferze szynku przeciągały przed oczyma Jelsky'ego kalejdoskopowym wirem dziwnie postrzępione obrazy wspomnień. Nagle uderzył się oburącz po kolanach. — „Tiens! To jest *une scène à faire*. Przecież to jest świetne jako temat!“

— Kawy jeszcze!.. Macie tam cygara... Ognia! Dziękuję.

„Rzecz ma w sobie miłą, popularną psychologijkę, posiada sama w sobie warunki sceniczne. Zaś pikanterya sceny na tle leitmotywu rozpaczy jest wprost secesyonistyczna!.. A gdyby tak machnąć? Hm?.. *Der Fall Angelica's, eine Familientragödie von Karl v. Jelsky.* Ja, — to jest on! — czuję to, będzie narysowany świetnie. Atmosfera moralna w sztuce nie powinna być zbyt poważna: *so, so, la-la! Wienerluft!..*“

— Ja pana pamiętam, — huknął mu ktoś basem nad uchem. — Pan z gazety?

— Mniej więcej.

Robotnik przed nim poczerwieniał w jednej chwili i zaperzył się jak indor.

— Ludzkie życie więcej warto niż żydowskie drzewo! — parsknął bez bliższych objaśnień. — Ludzi żonatych... Ubezpieczenie od wypadków powinno być magistrackie albo państwowe... Ludzi żonatych... O!

Zakrztusił się impetem własnego monologu. Chciał widocznie coś jeszcze powiedzieć, ale nagle zawrócił i wyszedł, trzasnąwszy drzwiami, że aż szyby jękły. Z gromady przed bufetem rozległ się pomruk aprobaty i potakiwania. Ten i ów rzucił jakieś zdanie w kierunku Jelsky'ego. Niebawem otoczyła go grupa robotników; posypały się gradem opowieści o pożarze. W rękach Jelsky'ego znalazł się wnet notes; pytania i odpowiedzi poczęły się krzyżować z błyskawiczną szybkością. Niedawne wspomnienia wraz z tematem sceny *à faire* odsuwały się coraz dalej i dalej...

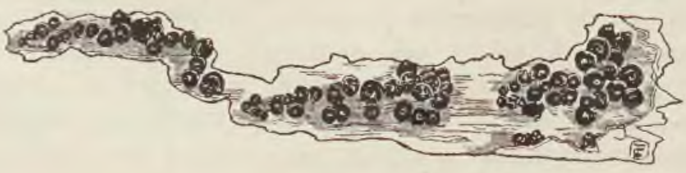
— Zrobi pan co do gazety?

— Toż robię!

— A straż na przedmieściach mamy podłą, — beczki dziurawe.

— Widział który z panów?

— Ja widziałem, jak z beczki ciekło.



Gdy otwierał drzwi do swego pokoju, spłoszył z przed biurka Müllera. „Mały“ zerwał się jak oparzony, rzucił, się na łóżko i odwrócił tyłem do ściany. „Twórczość była,“ — wnioskował Jelsky. Nawiązało mu to w myślach nici zerwane przez wiadomości o pożarze. A że Müller do gawędy wciągnąć się nie dawał, filozofował sam: już sama obecność tego człowieka podniecała mu myśl i wprowadzała ją na tory paradoksów. Rozmyślał głośno o kobietach.

— Wiesz, to jest jeszcze wielki problem: kobiety uczciwe, czy heteryzm? Bo pomyśl tylko: — wywodził, krocząc z rękoma w kieszeniach po pokoju. — Kilka godzin rozpaczy i jęków, całe morze łez, trwoga samotności, lęki złych przeczuć, i — *le moment approche* — obojczyki sterczą żałośnie i proszą widza o współczucie; zaś smętny zapach wody kolońskiej gotów wprowadzić młodego marzyciela w nastrój anemicznego kwietyzmu, skompromitować go pochwałą „szlachetnej dobroci,“ oraz narazić na propozycyę „bądźmy przyjaciółmi.“

— O czem ty..? — zaniepokoił się nagle Müller.

— Chcę powiedzieć ogólnie, że kobiety w monogamii tracą zbyt łatwo właściwe kryteryum wywieranego wrażenia. Jest to los podobny do fatum poety samotnika. Kobiety w monogamii zapominają, że na impresyę składają się, prócz pełniejszych kształtów, jeszcze i fale mięciutkiego jedwabiu, obłoki koronek, lekki i dyskretny bukiet perfum, harmonijna całość w kompozycyi otoczenia, wreszcie umiejętność, umiejętność, raz jeszcze umiejętność, — bodajby nawet w uśmiechu tylko. Zupełnie zresztą jak w poezyi... Jednem słowem, uczciwe kobiety... — Jelsky strzelał niecierpliwie z palców, krzywił się, wreszcie machnął ręką i wytrząsnął jakby z rękawa: — *Ça ne m'amuse plus!*

Müller uniósł się na łokciach i zapatrzył w niego.

— Więc tamte?.. Już tylko tamte!.. Jezus Marya, Jelsky!

— Noo? — przeciągnął niedbale Jelsky, gdyż w tej chwili był już zajęty czyszczeniem paznokci. — Jesteś dziś pokutny? Hm?..

— Jelsky! Jelsky!.. Dalej zajść już chyba nie sposób, dalej już ani kroku!.. Czy tobie, Jelsky, nie pachnie chwilami własny dowcip jak lufa rewolweru?

— Tym czarnym otworkiem, — odparł flegmatycznie Jelsky, — ziewa w skroń nuda, krzyczy rozpacz marzyciela. Ja żyję, staram się żyć jak najintensywniej. Zaś ty...

— Co ja?

— Marzysz, mały, marzysz niepoprawnie; w błotku nawet po uszy siedząc, marzysz Wszelkie zło takich najłatwiej się czepia: nie dosięgnie się w życiu, omota w myślach... Albowiem popełniłeś nierozwagę, podobnie jak i my wszyscy, wybrawszy profesyę artysty. Trzeba było zostać fabrykantem, kupcem, wszechstronnym lekarzem, lub estetycznie usposobionym prawnikiem. — Ci ludzie mają równowagę w życiu! Żółw jest w porównaniu z niemi stworzeniem eterycznie chwiejnem. U nich nawet nikczemność osadza się na dno duszy ciężko, solidnie, jakby dla zrównoważenia tej pesymistycznej melancholii, jaką ich napawa filozofia Maltusa i Darwina, nawet głupstwo występuje w szlafmycy zdrowego rozsądku lub w rozdartej szacie oburzenia, nawet interes stroi się w jubileuszowy frak społecznej zasługi... Ci ludzie mają równowagę! Panowie ci posiadają czasami córki na wydaniu. Jest to jedyne źródło, z którego sztuka może zaczerpnąć równowagi u społeczeństwa, oraz kapitalna ucieczka dla tych...

— Co uprawiają profesyę artysty, — przerwał mu Müller.

— Chciałem cię tylko namówić, jak to codzień czynię, abyśmy się pożenili bogato.

— Jestem codziennem i cierpliwem uchem twoich marzeń.

— Mamy długi, Müllerku, mamy przeraźliwe długi! — Jelsky rzucił się na fotel, wyprężył ramiona i ziewnął przeraźliwie. — To jest mego katzenjammeru zwrotka zwykle końcowa i najsmutniejsza... Aa! — ziewnął po raz drugi. — Wogóle, jestem smutny; dość powiedzieć, że chcę pisać dramat... U-uch!.. Jestem zmordowany... senny... Gdybym mógł obcować sam na sam z nieskończonością (w intymnem *tête à tête* bez dozoru teściowej ironii): — jednem słowem, gdybym był współczesnym poetą, połknąłbym nawet nieskończoność... Świat bywa przeraźliwie nudnym tynglem... Uu! — jakże mnie strzyknęło w nodze!.. Aktorzyska na scenie życiowej zmanierowały się doszczętnie i przestają już bawić... I ty, Müllerku, bywasz nudny z twem twórczem milczeniem... Co do mnie, lubię gadać pod wieczór, zanim zasnę; w przeciwnym razie gada we mnie melancholia... Zważ proszę, że i wtedy coś gada, zawsze i ciągle gada... Sumienie bywa hałaśliwym młynem.

— Na małej wodzie, — mruknął Müller.

— Trafiasz tem jak w sedno w genezę współczesnej twórczości poetyckiej... Mam dla siebie, prócz szacunku, i wyrozumiałość: ja wierszy nie piszę!

— Wiesz, Jelsky..? — Müller roześmiał się nagle i usiadł na łóżku. — Sądząc z wymowy i dowcipu, musiałeś dziś popełnić nielada nikczemność. — Jelsky pochwycił poduszkę z kanapy i cisnął mu ją z rozmachem na głowę!

— Psycholog! — zaśmiał się w odpowiedzi.

Wnet potem nachmurzył się, szlifując uważnie paznokieć środkowego palca u lewej dłoni.

— Do dyabła, trzeba na jutro rano przygotować artykuł o Yvecie... Mały, powiedz co o Yvecie! Podobała ci się Yvetta?. Ale jakże ta twoja biała rączka z loży? Ona się dopełniała z Yvetką w kontraście. Słuchaj, Müller, czy to dałoby się zużyć w sprawozdaniu, — felietonowo niby?

— Można, wszystko można.

— Czy ci Yvetka nie przypominała kruka, a ta jej piosnka żerowego krakania nad padliną? Zaś ta twoja — sęp.

Müller zerwał się znowu i mówił szybko w nagłem gorączkowem podnieceniu:

— To woskowa lala szeleszcząca jedwabiem, białe ciało na plakaty mydeł toaletowych, trup z przepychem ubrany, flakon ekscytujących perfum, beczka do wlewania w nią szampana. To nie mówi wcale, uśmiecha się tylko jak automat za każdem dotknięciem. Widzisz: sęp-ścierwnik, z jego potwornym, ociężałym chłodem, z tą wstrętną sennością sytego ścierwem ptaka.

Jelsky jednym susem wyskoczył z fotelu i począł krążyć rezolutnie po pokoju.

— Chłop tylko w gorzałce smak znajduje. W takim spokoju jest bardzo coś!.. Na to mrożą szampana... Ta Galatea pozwala ci być Pigmalionem... E, Müllerku, jesteś dziecinny!

— Jelsky, porzućmy ten temacik, bo... bo ci lakierki opluję.

— Za własne grzechy?

— Jelsky!.. — żachnął się, czy też jęknął Müller i, upadłszy na poduszki, odwrócił się tyłem do niego. Ale Jelsky wpadł nagle w doskonały humor: przysiadł się na brzeg łóżka, począł łechtać Müllera i kułakować go żartobliwie.

— Dzieciuch!.. serdeczny!.. naiwny!.. Jak-eś ty się, chłopcze, uchował na tym świecie?.. Müllerku, Müllerku, nie miętoś ty sumienia, bo gotów-eś wygnieść wszystkie drożdże ze swego talentu.

— Poszedł precz!

— Bądź filozofem, poeto, i przyznaj, że bądź co bądź to są drożdże?

— Co?! Czego!?

— Sensacyi, temperamentu, a więc i sztuki. Z własnego życia należy jak z filozofii wyciągać nieubłagane konsekwencye.

Müller usiadł na łóżku.

— Kokoty?! — krzyknął i zatrząsł się suchym zgrzytliwym śmiechem.

— Uch, jakiś ty trywialny! I śmiejesz się brzydko... A oczy ci świecą jak u wilka.

Zachłysnął się tym śmiechem Müller, począł kasłać i splunął wreszcie krwią w chustkę.

— Uch, jakiś ty — przekonywający!

Jelsky sięgnął po butelkę z lekarstwem. — Roztwórz dziób!.. Wypijesz tej obrzydliwości ze dwie beczki i będziesz zdrów jak fabrykant margaryny. Kunicki mówi, że mikstura jest ostatniem słowem. Rzecz nawskroś *modern.*

— On tak tylko, dla suggestyi, — odparł smętnie Müller. Roztrząsł go i obezwładnił ten kaszel.

— Widzisz go, jaki przebiegły!

Zamilkli. Jelsky pisał felieton. Müller leżał na wznak i wpijał się wielkiemi, gorączkowemi oczyma w zwieszające się gdzieś z pod pułapu spłowiałe skrzydła wypchanego ptaka.

— Wiesz, — przerwał Jelsky milczenie, — stosuję formę do przedmiotu i piszę o Yvecie w stylu *decadence*. Zdańka krótkie, strzeliste, między słowa rzucam garść kropek i domyślników, metafory jakby żywcem wywiane z leksykonu: tu z patologii roślin, ówdzie z mineralogii, gdzieniegdzie mała niespodzianka z Maeterlincka.

Nie wytrzymał Müller i parsknął śmiechem wraz z autorem. Jelsky zaś, pisząc szybko, rozprawiał dalej:

— Wałęsają mi się po wierszach jakieś reminiscencye chaldejsko-egipskie: zawdzięczam to oczywiście asocyacyom wywołanym przez sępa... Krytycyzm mój, jak widzisz, czuwa ustawicznie: pisząc najmodniejsze głupstwo, potrafię zachować zawsze pewne pozory sennej poprawności starego dobrego stylu. Miłośnikom tradycyj narodowo-literackich może się nawet przypomnieć drzemiący przed biurkiem redaktor z tabakierą w ręku... I cóż ty na to, mały? — dopominał się, nie otrzymując odpowiedzi.

— Jeszcze-ś za mnie nie odpowiedział? — zdziwił się Müller. — Jeśli chcesz koniecznie: jesteś dekadent umiarkowany, romantyk neo-praktyczny, radykał młodo-konserwatywny, artysta indywidualno-popularny, cygan cylindrowy; — jesteś, jednem słowem, dziennikarz europejski.

Jelsky żachnął się niecierpliwie: — To wszystko razem jest gadaniem z Bożej łaski neurastenika, wieszczego improduktywa z parafialnego zakątka czystej sztuki. Bój się Boga, Müller! wyście się zdążyli naprzykrzyć już rozsądkowi, życie z was się śmieje na całe gardło... Jak wy możecie samych siebie brać jeszcze na seryo?

— Nie bierzemy, Jelsky, nie; tylko w inny, mniej wesoły sposób, niźli ty to czynisz.

— No, — przeciął Jelsky, — jeżeli nas humor tylko różni!.. — Za karę nie przeczytam ci artykułu o Yvetce.

— Czytać! — kaprysił Müller opryskliwie.

— Jednak jesteś ciekaw, co w gazetce będzie stało, — hę? Wy wszyscy jesteście jednacy: „Jelsky taki, Jelsky owaki, Jelsky nie jesteś codzień genialny,“ — a jednak żaden nie wytrzyma, żeby go nie przeczytać. — Mój kochany, znam ja swój tłumek! Inaczej nie byłbym dziennikarzem. Ja jestem nerwem waszego życia. Gdyby Jelsky'ego nie było, należałoby go stworzyć.

Müller stał już przy biurku i zapalał papierosa. Ćmił gwałtownie, chmurzył się, marszczył: widać było, że skupioną uwagą przejedzie jak ostrym nożem przez felieton Jelsky'ego. „Można lekceważyć sobie świat, ludzi, życie, samego siebie, własny talent, ale trzeba mieć talent, — zastrzegał na początku. — Inaczej, to wszystko stoi tylko na cynizmie. A ty mi się zawsze jak węgórz przemykasz.“ — Słuchał więc i chmurzył się coraz bardziej. W chwili gdy chciał przerwać Jelsky'emu, zakaszlał strasznie; ciało się zatrzęsło, twarz sponsowiała, w gardle poczęło mu rzęzić, grać i chrypieć. W miarę tego kaszlu, wzrastał w nim upór i zawziętość, jadowita złość zbierała w oczach. Przemógł się i wyrzucił ochrypłym głosem:

— Staczasz się... beznadziejnie... w przepaść banalności! — Porwał go znów kaszel z brutalną, bezlitosną przemocą: zrywał mu piersi, miotał ciałem i rzucił wreszcie o łóżko. Ciało roztrząsł, duszy wszakże nie zmógł: na zmęczonej twarzy zaskrzepł hardy upór, a w poczerwieniałych, głęboko zapadłych i jakby mgłą zasnutych oczach jakiś zimny błysk nienawiści.

— Roztarł cię ten młyn, — wykrztusił z trudem, — na pył i proch uliczny... Nie wierzyć nawet w samego siebie i nie mieć talentu... To nie można, to już wcale nie można żyć... Słuchaj, Jelsky... czemu ty... czemu ty w łeb sobie nie strzelisz?

Jelsky porwał się na równe nogi. Pohamował się jednak w tejże chwili i składając papiery przeciął chłodno:

— Poczekam, aż ty umrzesz.

— Niedługo...

Uporawszy się z kaszlem, padł Müller rękoma na poręcz łóżka, splótł je i przyległ na nie podbródkiem; gorączkowem spojrzeniem wpijał się w Jelsky'ego, wgryzał mu się duszę, wlepiał w twarz łzawemi i zaczerwienionemi od kaszlu oczyma.

— Chcesz?.. — szepnął przeciągle i dokończył wzrokiem swe pytanie. — Chcesz razem?.. chociażby zaraz?. Ja zawsze gotów...

Jelsky nie pojął odrazu, zwrócił się jednak czujnie w stronę Müllera. Zdawało mu się, że od okna powiało w tej chwili chłodem, zwiastującym świt. Wstrząsnął się całem ciałem.

— Zaczynasz swoje? — rzekł. — Dawno nie było!.. Już ci dyabeł w wilcze ślepie wlazł?..

— A wiesz ty? — odbijał Müller cichym szeptem, wciskając podbródek w splecione na poręczy ramiona — wiesz? — Zgrzybiała kokota zwątpiła któregoś dnia o własnych wdziękach i przeraziła się swej brzydoty. Zmyła puder, szminkę, karmin, i pod suchą zjełczałą skórą zarysy swej trupiej czaszki ujrzała. — My, dziatwa Apollina! — hę?.. To jest straszna klęska! — wielka klęska! — to się pomyśleć wprost nie da!.. He, he, Jelsky, — kochasz życie? Powiedz dowcip, Jelsky, zrób kalambur, rzuć paradoks! — He! — he! — he! — zatrząsł się i zabeczał ochryple jak stary kozioł. Na zakończenie prysnął w kułak sztucznym forsownym, zgrzytliwym chichotem.

Jelsky'emu rzuciła się krew do głowy; dopadł go, schwycił za ramię i wciskał z całych sił w poduszkę.

— Zgrzyta, zgrzyta, zgrzyta grzech w tobie? — bełkotał gorączkowo. — Za bary wziął się grzech ze śmiercią... Twe sumienie nie jest gadatliwe; — ryje jak kret po ciemnej duszy... Nietyle przed grobem drżysz, ile

przed tem, że weń samotny wstąpić musisz. Nietyle rozpaczy się boisz, ile tej myśli, że w swych ciemnych nocach sam, zawsze sam jeden królować będziesz. „Czuj! czuj, co się we mnie dzieje!“ — tak twój strach wielkiemi oczyma krzyczy. „Pójdź! pójdź! pójdź w tę ciemną noc moją, gdzie śmierć, dyabeł i hetera sabat taneczny święcą...“ Nie znosisz chłodu na cudzej twarzy, uśmiechu w cudzych oczach, pewności w ruchach nawet nie lubisz, nienawidzisz schludności w cudzem ubraniu: zgoła wszystkiego, co o jakim takim ładzie wewnętrznym mówi... Znam ja mowę twej nienawiści! — Łasisz się wtedy i merdasz jak pies, jak wąż ślizkiem pochlebstwem oplatasz, jadowitemi wargami ślinisz i ruchliwym gada jęzorem szukasz, gdziebyś żądło mógł zapuścić...

Ścisnął go jeszcze mocniej za ramiona, uniósł nieco z łóżka i puścił jak piłkę o poduszki.

— Graj mi demona, — wołał — graj! Wiem przecie: z tynglu wracasz, powlokłeś się z jakąś tam... Rozpusta ze łba dymi. Znam te ciemne drogi myśli, po których wałęsa się twa dusza bezwładna.

Müller zwinął się w kłębek na posłaniu i, zaciskając suche ręce, syczał uparcie:

— Jak ty życie kochasz! jak ty życie ubóstwiasz! Bój się człowieku Boga, czem ty się będziesz w życiu oszukiwał? Talenciku nie masz, nie masz, nie masz!

— Idź szukaj swego po..! — Jelsky przeżuwał jakieś słowo, gryzł zda się w zębach, rozgniótł i wypluł wraz ze śliną na środek pokoju. — A jeśli mi jeszcze choć raz coś z twego czarnego repertuaru zagrasz, wyrzucę precz. Zczeźnij, gdzie chcesz.

— Taak?..

— Żebyś wiedział.

Müller powstał z łóżka, zapiął flegmatycznie tużurek i sięgnął po swą pelerynę.

— Wiesz, — mówił, porając się flegmatycznie z rozdartą podszewką zarzutki, — wiesz, co mnie w życiu najbardziej upokarza? Oto że nie umiejąc zarabiać potrafię się dostawać do egoistycznej kieszeni mych przyjaciół najpospolitszym wytrychem współczucia... Ile ja ciebie, Jelsky, kosztuję miesięcznie?

Jelsky podjął ze stołu niedawno odczytany rękopis i rzucił mu go pod nogi.

— Tyle tylko... Od czasu do czasu.

— Kochasz mnie, Jelsky? — Müller ze skupioną uwagą odgryzał przytem szmat podszewki. — Wierzyłeś we mnie? bardzo wierzyłeś? Pozwoliłeś na swem dziennikarstwie pasorzytować talentowi? — hę? — aby spłacić ten dług lichwiarski zdradzie marzeń własnych... Bo przecież każdy człowiek jakiś mały procencik temu lichwiarzowi przez całe życie spłaca. ...I stała się rzecz śmieszna: przywiązałeś się, Jelsky, przywiązałeś się za to, że mogłeś przed kimś z siebie i ze świata drwić, a jednak w kogoś wierzyć, wierzyć mimo wszystko... Ten śmiech twój na gruzach wszelkiej wiary, ten otwarty cynizm w życiu i dziennikarstwie, — wiesz Jelsky, — to dziwnie szlachetna w tobie rzecz: to szczery głos duchowego bankructwa. Pan jesteś: — czuję! von Jelsky! szlachcic polski!.. Widzisz, bo są inni, którzy dla tychże przyczyn, dla tego że wiarę we wszystko już stracili, sami siebie z namaszczeniem traktują... A ty jednak... jednak wierzysz w coś. I dla czego we mnie?!.. Widzisz, to przywiązanie jest także słowiańskim szczątkiem w tobie, ale ta pozostałość pochodzi z pospolitszych owiec polskich: w braku kogo innego, przywiązałeś się do prostego wilka... A zkąd ty wiesz, czy ja nie byłem polipem na resztkach twego talentu? Może ja ci połowę duszy wyssałem i we własnej dopiero uświadomiłem tę twoją połowę?!. A wiesz ty, że ludzie wrażliwi, chwiejni, a do życia się garnący, modlić się powinni co-

dzień: chroń mnie Boże od samotników, od osobowości silniejszych, bo wiarę w siebie utracę i zmarnieję. A tyś mnie przygarnął. He!-he!-he!.. Czemu drżysz, Jelsky?.. Imponowałem ci? Przyznaj szczerze... Jak ty bledniesz! jak ty okropnie bledniesz! — Imponowały ci ludzkie o mnie gawędy i wielkie pokładane we mnie nadzieje. A może imponowałem ci tem tylko, że byłem tak odmienny od ciebie. „Jeśli nie ja, więc taki, — myślałeś. — On jest tym wybrańcem losu, pomazańcem kaprysu natury!“ Jak tobie rączki drżą, Jelsky!.. „On, — myślałeś, — dokona tego, czego mnie dokonać nie było sądzono. Ja ginę, niechże wiem choć to tylko, że fatum, co mi życie zniszczyło, jest warte życia. Sztuka, — hę, Jelsky? *Sztu-ka,* ta bądź co bądź ostatnia i jedyna nasza wiara... Jak to w tobie głęboko, głęboko siedziało! I jak naiwnie, jak niedołężnie wypowiadało się pod koniec. Przedwczoraj sprawiłeś mi parę spodni. He!-he!-he! — Jelsky! Dla sztuki? co?.. Jak twoje rączki cudownie drżą! I nóżki, także!.. Siądź, Jelsky, na krzesełku, proszę ciebie. Siądź i powiedz dowcip... Bo milczysz już za długo; wprost nieprzyzwoicie jak na dziennikarza.

Jelsky odepchnął go od siebie brutalnie i osunął się na krzesło. Müller otulał się już w swą pelerynę, nastawił kołnierz, nacisnął beret i, stanąwszy tuż nad nim jak wielki nietoperz, szepnął mu w ucho:

— Zrozum-że raz, ty niedołęgo, coś polską duszę dziecka zgubił, a piersi trocinami europejskiej kultury wypchał, jak się w tej europejskiej kulturze robi talent. Rzecz prosta, a sekret wielki. Trzeba mocno, tęgo, uparcie na własnym gruncie stać, trzeba mieć sto oczu, sto uszu i sto ssawek chciwych; do każdej duszy, która jest coś warta, trzeba jedną bańkę przyłożyć i wokół ssać, ssać i ssać! Każdą muchę wyssaną odrzucić precz i sięgać dalej, wyżej, szerzej! Pojąłeś nareszcie?! Tak się w Europie *robi*

talent! W Europie wszystko się dziś robi... W Niemczech natomiast fabrykują przeważnie etykietki. Rozjaśnij liczko, Jelsky, czerwoną chusteczką mignę ci przed oczyma, na ucho szepnę słówko, które rodzi dowcip w największym kretynie. Polip utalentowany zwie się nadczłowiek... Zrób dowcip, Jelsky! Do każdego słowa można przyczepić słówko „nad.“ Jeszcześ nie pomyślał, a już czytelnik się śmieje. He, - he, - he!.. Milczysz? ...Przykro, żeś stracił kontenans... Pocieszam się tylko, że jutro napiszesz paszkwil. — Ty pewno wciąż jeszcze deliberujesz nad tem, że ja, — jakże to mówi Hertenstein? — że ja „nasz byt usprawiedliwię,“ — mój i twój byt!.. Marzyłeś (ho! ho! — marzyłeś! — troiło ci się, powiem inteligentnem słowem dowcipnego dziennikarza), troiło ci się, że w ciemne kąty naszego życia padną te jasne promienie, co wszystko rozświetlą, że na naszym śmietniku zakwitnie ten mistyczny kwiat, co ślepem zrządzeniem losu raz na lat setki z najbrudniejszych bodaj wyrasta kątów. Marzyłeś o cudownym kwiecie, co nawet ślinę dziennikarską bez szkody znieść może, bo za niego ludzie kiedyś wszystko przebaczą, wszystko wyrozumieją i jeszcze z błogosławieństwem wspomną. Tak-eś marzył. I zawiodłeś się!.. Widzisz, takie kwiatki na śmietnikach trudno się udają, one z piersi ludzkich wyrastają. I nie gnojem się żywią, lecz krwią swego twórcy... Zrozumiałeś?.. Krwi sztuce potrzeba, krwi, bólu!.. He, - he, - he! — biedny Jelsky, biedny! I głupi! Bądź wesół, Jelsky, i pielęgnuj dowcip. Jużeś mi więcej — niepotrzebny!..

Jelsky bladł, bladł przeraźliwie; dygocące wargi mięły wraz ze śliną jedno krótkie słowo.

— Łotr! — spadło wreszcie z ust.



Jelsky pozostał sam. Wokół cisza była i pustka; dudniało tylko miasto gwarem swym monotonnym i szumiało w uszach. Gdzieś na wieży wysokiej ocknął się zegar prastary, zazgrzytał ciężko i nową, nikłą godzinę dziejów głucho wydzwonił. Grały zegary w ciszy nocnej, płynęły echem ponad miastem, — wysoko, coraz wyżej, niby żórawich lotów podniebne skargi, i wlokły za sobą cały czasu płynącego smutek: i nadzieje zawodne, i troski rozpaczne, i żale spóźnione, i wspomnień krótkiego szczęścia ostatnie przebłyski. A zbierały zewsząd śmierć!

Jelsky czuł, jak dławi go w tej chwili nieobjęty wprost ogrom własnej i cudzej niedoli, ta straszna niemoc ludzkiej rozpaczy, której losy nie użyczyły głosu; — czuł, że jego skarga niema pada w otchłań czasu, niby te godziny, co się górą poniosły, ciągnie ponad tem potwornem mrowiskiem ludzi krwawa i milcząca i wlecze za sobą połamane skrzydła.

„Jam już dokonany!“ — pomyślał.

Na ulicy potoczył się z łomotem ciężki, ładowny wóz i przyniósł ze sobą głuchą, szarą trzeźwość jawy.

Próbował mimo wszystko poprawić felieton o Yvecie, ale ta praca sama z rąk mu wypadła. Już się do snu zamierzał układać, gdy spostrzegł na stole kilka zeszytów pozostawionych przez Müllera. Pochwycił je chciwie. Na okładce pierwszego rzuciło mu się w oczy grubemi literami wypisane zdanie:

Nonumque prematur in annum.
Horacy.

W pierwszej chwili te słowa uderzyły go w pierś, niemal jak głuchy wyrzut; lecz niebawem otrząsł się i mruknął: „Ba..!“ — Wziął do rąk drugi zeszyt. „*Nonumque prematur*...“

„Ha! ha! Takąś ty, Müllerze, pułapkę na samego siebie zastawił?.. Dla Horacego ta formułka była prawdopodobnie tylko figowym listkiem nieszczerej skromności, dla ciebie stała się górą, przed którą stawałeś jako wół z bajki. Dziewięć lat, — bagatela! Inne, inne dziś czasy! Dziś nawet Horacy pisaćby musiał kuplety. Wiele zmieniło się od czasu Horacego. Oto Kopernik ziemię wyważył, gdzieś w ciemny kąt wszechświata strącił i w wir codziennego biegu rzucił; a gilotyny rewolucyi francuskiej zaśpiewały jej kankanową piosnkę: „dziś! dziś! dziś!“ — inaczej: „grosz! grosz! grosz!“ — Co brzmi po francuzku:

allons enfants de la patrie,
le jour de gloire est arrivé!

Inne czasy!..“

Rzucił okiem na pierwszą kartkę i czytał:

Trzeba mieć lotne nogi, by przez lat 9 z życiem się ścigać i nie pozostać w tyle, trzeba mieć dobre

śpichrze, by przez lat 9 świeżość myśli w nich zachować, trzeba daleko patrzeć, by przez lat 9 módz tylko zasiewać, trzeba mieć dużo lekceważenia dla tych, co po cudzych śpichrzach chleba tylko szukają, wiele wzgardy dla szkodnych szczurów i myszy, co, cudzym niedostatkiem głodne, w samo serce się nieraz wgryzają.

Mnie nogi moje z pośpiechem w grób niosą, nieczystych dłoni zasiewy w duszę mi padały; — wdarł się grzyb w śpichrze moje: pleśń je niszczy, rdza pożera i sporysz wypłenia! A wzgarda moja zawiścią się stała: życia-m zbył w samotności!

Do mnie żadne słowo zrozumienia, żadna dłoń otuchy nie trafiła, do mej samotności śmiech tylko i chichot tłumu dolatywał: „Żyj!.. Użyj!.. Kochaj!..“ — Pochwycił mnie rojny i barwny gwar życia, padłem jak ćma w płomień. Zbyłem duszy w gwarze ludzkim! Uścisnęło mnie miasto, potwór piersi mi zdławił.

I oto pierzchły me myśli rojne jako ptaki przelotne, bo w duszy serdeczna nastała posucha. Rozwiały burze zasiew płodny mej samotności. Na wielkiej tęsknot pustyni kraczą dziś tylko kruki nad mego ciała padliną.

Rzućcie mego trupa w kanały miejskie!



Jelsky urwał, sięgnął nerwowo po cygaro i zasnuł się niebawem smugami dymu.

— Kawiarni! — krzyknęło coś w nim nagłem przypomnieniem niedawnej wędrówki przez ulicę. Z gorączkowym pośpiechem przerzucał kartki chaotycznego dziennika, zatytułowanego dziwacznie: myśli niepłodne. Znał poczęści te kapryśne rzuty i skoki myśli; wiedział, że myśl Müllera, z jakichbądź dziedzin dążąc, natrafia zawsze na kobietę jako na mur! Ona była szczytem i uwieńczeniem każdego pojęcia, wszelkiego rozumowania. W tym fantastycznym gmachu myśli, dziwnych jasnowidzeń i gorączkowych rojeń mieszkał tylko — harem.

Jelsky czytał:

Jako małe śmieszne chłopię marzyłem o królewskiej kobiecie, zda się, na to tylko, by chęcią, myślą, duchem sięgać wyżej, wyżej i jeszcze wyżej!.. A do wyśnionej tak-em się modlił:

„Jeśliś się w ciało już oblekła, znijdź ku mnie łaską obietnicy Twej. Nie teraz, bom nie godzien. Wejrzyj ku mnie i myśli swe skłoń w najlepszą godzinę życia mego, kiedy cię godnie uczcić potrafię mych krwawych tęsknot zasiewem, myśli plonem czy złudą. Znijdź w godzinę dobrego zasiewu i błogosławionych zbiorów, w godzinę bólu i narodzin, w godzinę ducha mego z Tobą cudownych zaślubin, w tę godzinę rodzajną, godzinę pomazania!.. La sacra visione di Te imploro, Beatrice mia!“

W Atene kochałem się zamłodu i za niejeden piękniejszych marzeń kwiat pocałunki od niej otrzymywałem! — Marzyłem o kobietach szczerych i serdecznych jak dzieci, o królewskich, o boskich; o tych, co są radosne i słoneczne jako kwiaty łąkowe, o tych, co jako lilie są zmierzchowe, o tych, co jako białe gwiazdy tytoniowych kwiatów po nocy migocą i legendą wabią; o różach śniłem królewskich, co raz na la-

ta całe i na noc jedną tylko z pąku ciała przepychem się rozchylą — i giną!

Marzyłem o nich wszystkich w samotni kiedyś; dziś marzę w białym oplocie ramion Lili, — Lili z kawiarni.

A jednak lubię Lili. Ja duszę w każdej kobiecie lubię!

Lubię te chwile, kiedy w jej oczach zatlą się w czas zadumy jakieś zielonawe, blade i odległe płomyki; twarz bieleje i przysłania się mglą skupienia.

Tak w ciche, jasne i łagodne noce, na grząskich bagnach wyiskrzają się ogniki i błądzą senne po sinych mokradlach, póki ich świt nie zgasi.

Lili jest biednem, smutnem dzieckiem miasta. Gdy ją temi słowy pieszczę, drży i tuli się do mnie jak dziecko. „Nie boisz ty się, Lili, miasta?“ — „Miasta?“ powtarza i taką ciszę skupienia ma w oczach!..

„Patrz, słuchaj, pomyśl! — W tej chwili wpadnie tu do ciebie pijana banda: brzęk szkła, pijane śmiechy, ochrypłe glosy i śpiewki cyniczne. I ręce! — suche, białe, o lśniących paznokciach, zdobne sygnetami, plugawe dłonie pospolitych drapieżników! — wszystkie one wyciągają się ku tobie. — A wszystko wokół drga, tętni, wibruje. Muzyka gra, — słyszysz, gra tem dziwnem tempem, w którem się cynizm tak swywolnie wypowiada. Extrablatt! — wołają... Extrablatt! — Najnowsze depesze!.. — „Najnowsza powieść!..“ „Najnowsze arcydzieło!..“ „Najświeższa plotka!..“ „Łatwy

sposób zrobienia majątku!..“ „Porady sekretne!..“ „Tajemnica ruletki!..“ „Jak zostać sławnym?..“ „Jak zyskać szczęście u kobiet?..“ „Samobójstwo bankiera!!!“ „Skandaliczny romans księżniczki krwi!“ „Mord!..“ „Mord i rabunek!..“

— Kupujcie! kupujcie! kupujcie!

A artyści śpiewają:

Tak, tak, tak,
W tem cały życia smak,
W tem cały sztuki sens!..

„Lili, właź na stół!“ „Lili. zaśpiewaj.“ „Lili, zdejm podwiązkę...“ „Szampana!..“ „Mord!..“ „Mord i rabunek!..“ „Skandaliczny romans księżniczki krwi!..“ „Śmierć głodowa!..“ „Nekrolog poety.“ — „Kupujcie! kupujcie! kupujcie!..“

A teraz ty śpiewasz, Lili:

Spojrzyjcie tu! spojrzyjcie tam!..

Spojrzyj ty, Lili, na ich twarze! na te podle, głucho bezmyślne i pijane uśmiechy, na to zwierzęce umęczenie w szeroko otwartych, zeszklonych oczach na białych jak kreda twarzach. — Tyle jadowitego smutku jest w tej chwili błędnej, kiedy blask lamp gazowych ze świtem żółknie, blednie i zamiera. A kiedy nagle światło zgaszą, zda ci się przez chwilę, przez jedną krótką chwilę, że pośród trupów siedzisz...

A tam na krańcach miasta zawyją jak raniony potwór — sygnały fabryczne — — “

Lili odpycha mnie, pada w głąb kanapy i myśli, chmurzy się, głuchy wstręt w sobie przetrawia. „Boisz się, Lili, samej siebie?“ Potakuje głową, prędko, gwałtownie: raz, drugi, trzeci... „No, Lili, Lili — dzieciaku ty!.. Widzisz, my oboje, jak przez cyganów

kradzione dzieci, na rozrywkę tłumu sztucznie hodowane; oboje w wielkiem mieście zbłąkani...“ Lili zrywa się i pada mi na szyję. „My oboje!“ — woła i uwiesza się tak na mnie, jakby mnie wraz z sobą gdzieś w otchłań porwać chciała.

My oboje, Lili!..
i ten smutek wielkich miast rozpaczy;
i te surowe wrota zamkniętych o świcie kościołów;
i te po rozpuście na rosę marzeń rozchylone białe kielichy tęsknoty, me poezye pisane o świcie;
i te życia mego ostatnie miesiące...
My oboje, Lili!

Jelsky nie wytrzymał: zerwał się z miejsca, aby się zakrzątnąć koło czarnej kawy. Zapalił spirytusową maszynkę i czytał dalej:

...Wprowadził mnie tam Jelsky! Było to pierwszego dnia mej ostatniej wiosny. — Ona ma w sobie słoneczną radość łąkowego kwiatu, w pytającym błysku oczu niegasnącą do życia ciekawość, pąkową świeżość, co rosę wrażeń chciwie chłonie i duszę zawsze odradza; ciągłe zdziwienie, to wieczne i nieziszczalne dzieciństwo duszy, co jest opoką, na której bogi greckie świątynię sztuki zbudowały.

Borowskiego poznałem dawniej. On samego siebie wspomnieniem przetrawia; na każde jego słowo odpowiadają dalekie echa: „kiedyś!“ W nim jest coś z potężnych dębów, z ich głębokim poszumem starej legendy. Mimo że pień już murszeje, jest w tym dębczaku wiele dobrej krwi: jest niestrawiona wewnętrzna moc młodej rasy, czuć jędrność i siłę wielkich namiętności. — Lubię Polaków! — Jelsky! Jelsky! cóżeś ty zaprzepaścił!..

Jelsky zaczerpnął kawy z maszynki i wychylił filiżankę do dna.

Lubię myśleć o tych młodych rasach na naszych brukach, o tych smętnych barbarzyńcach, których toczy rak kultury. Lubię te ich zawody naiwne i serdeczne na tej starej nierządnicy Europie wraz z jej wielkiemi hasłami. W smutnych oczach tych barbarzyńców jest coś ze spojrzenia Lili, coś z błysków dzikich zwierząt spoglądających z klatki na tłumy świąteczne, coś ze sztucznych wybujałości cieplarnianych roślin, coś z dusznej i zgniłej woni oranżeryi. — Lubię ich, jak lubię Lili, jak lubię podzwrotnikowe storczyki w świetle lamp elektrycznych za zamarzniętą szybą sklepowej witryny. Myślę często o Pawluku i Jelsky'm i lubię ich porównywać.

Borowskiej opowiedziałem raz taką bajkę:

Było raz dwóch braci bliźniaczych, co w cieniu jednego dębu wzrastali. Dąb zgnił u korzeni, burza zniosła; zaś nawałnice rozwiały braci na wschód i zachód świata. Minęły lata, minęły czasy; dawnych ludzi dawne wiary spłynęły krwią do dwóch mórz. Inni ludzie, inne czasy, inne wiary! — morza nawet już inne! spotkali się bracia, spojrzeli i — za noże chwycili! — Czas, przestrzeń, dwóch wielkich duchów potę-

ga odmienna, wyryły między nimi przepaść tak głęboką jak jednego stulecia myśl i tak wielką jak dwóch bogów nienawiść.

„Taką bajkę, pani, będą wam opowiadały kiedyś stare piastunki, bajkę o dwóch braciach.“

Patrzy, patrzy... Potakiwać nie chce, zaprzeczyć nie umie, i dziwi się, i spoziera zdumiona, „coś ty za jeden?“ szepczą oczy, i ledwie zapytały, już się litować gotowe. I patrzy... Chryste, jakie oczy!.. I boi się i milczy: spojrzeniem bada, duszę nawskróś przeziera. Przejrzała, i opuszcza oczy, Czy ta łza, ta na brzegach oczu pozostała łza — czy ją bajka moja pozostawiła?.. Czy może wiew smutku na ten kwiat ode mnie poszedł? Czy może rosa nowych wrażeń na niego padła?.. A może inne bajki starej przypomniały się piastunki?..

I między jej oczyma a spojrzeniem mojem błądzą dusze nasze, niże się ta nić zwiewna, nić pajęcza, co mnie do jej stóp na zawsze przykuje, wiążą się te struny złote, struny gędziebne, do których dłonie me ślepe rwą się same, omackiem, jakby z Boga wyższego nakazu.

O struny duszy kobiecej napięte, struny me harfiane!..

I rozchyliły się ku temu słońcu mych najgłębszych tęsknot najbielsze kielichy. Pierś tchnieniem szerokiem się rozszerza, jakby moc nowa w nią wstąpiła, jakby w niej zadrgać chciały najczystsze, najgłębsze, najszczersze nuty, jakby zbudzić się w niej miała ta pieśń mi obiecana...

Pieśń, co była już w grobie, już chłodna,
Krew poczuła, z pod ziemi wygląda
I jak upiór powstaje...

Dajcie mi harfę taką! Dajcie mi wielkiego uczucia tchnienie szerokie, a zaśpiewam wam nowego życia hymn weselny!

...A że mam śmierć tylko przed oczyma, za życia — grobu głuchą samotność, i tych dwojga ludzi tak silne kochanie, i z kałem życia ciągłe obcowanie, więc chyba krukom złowieszczym gotować będę krakania mogilne.

I pieśń ma legła znów w grobie.

Więc znowuż: my oboje, Lili!
i ten smutek wielkich miast rozpaczy,
i te surowe wrota zamkniętych o świcie kościołów,
i te na rosę smutku rozkwitłe białe kielichy tęsknoty: me poezye pisane o świcie,
i te życia mego ostatnie miesiące...

My oboje, Lili! —
A tam, ty — Zochna.

Imię twe święte płacz mi z piersi wydarł i przede mną samym zdradził... Imię twe święte szepczę i łez mych nie wstydzę się nawet przed samotnością moją!

Jelsky słaniał się jak fakir nad czarnym dymem, już go sine smugi wstęgami owiły, pochłonęła go chmura. Ćmił cygara bez końca, połykał kawę.

I czytał:

Lubię, gdy strach upiorów o północnej godzinie oczy mi zaokrągla, mięśnie na twarzy ściąga i przyczaja zmysły złudą oczekiwania. Wtedy czuć moich skupienie rodzi wokół jakieś szepty, szmery, stąpania... Nie sam słyszę, ludzie już o tem gawędzą; drwią ze mnie i boją się nieraz. Ja drwię, boję się i lubię te moje chwile; pieszczę się niemi, bawię się gorączką wyobraźni, co mi tętno serca tak rozkosznie przyśpiesza.

A od czasu gdym ciebie poznał, temi chwilami tylko żyję. Chcę ciebie wywołać, potęgą uczuć moich, jasnowidzeń moich przemocą przed oczyma postawić. Wspomnienia tych krotkich chwil przy tobie stały się ducha mego soczewką, wszystkie promienie duszy w sobie jak w ognisku łączą i mózg mi palą. Znam już słodycz wielu marzeń z Tobą, przy Tobie, dla Ciebie: chociażeś mi ciałem obca i daleka duchem, jużeś moja! Wypiłem już haszysz wszelkich z Tobą łączności i upojeń, myśli moich wszechwładzą wiele pieszczot ci już nakazywałem. Alem się przesycił marzeń moich uludą.

Zjawu chcę!

Patrz, — ja nigdy, przenigdy takiego skupienia wszystkiego czucia i myśli nie zaznałem, takiego stopienia się woli z twą myślą, duchem, ciałem! Jako tygrys do skoku przylegly i zdobyczy czujny, przyczaiła się wola ma.

Wola moja wzywa ciebie!

Przyjdź, — jednym promieniem nadziei przyjdź, a wówczas serce mi chyba ptakiem z piersi wyskoczy, po tym promieniu do ciebie zleci, do stóp padnie i choremi skrzydłami załopocze.

Płaczesz... Dlaczego mi się zdaje, że Ty tam u siebie w tej chwili płakać musisz?

Patrz! — już mi strach upiorów o północnej godzinie oczy zaokrągla, twarz ściąga i ramiona pręży... słyszysz te szmery, szepty i stąpania wokół?

— Tu?!..

Coś echem się niesie, szmerem cichym się skrada.

— Czyś to ty?!..

Coś ze stołu spadło i echem wciąż jeszcze pada...

Słyszę, jak się tam miasto zdala burzy, słyszę świst głuchy i łoskot ciężki wzbierającej fali... Czy to brzęk złota, czy wiatru o szyby dzwonienie?.. Twójże to szept pieściwy, czy przytłumione tłumu szemranie: „Dziś! dziś! dziś!..“ Twej-że to sukni szelest, czy też Lili chichot pijany?..

— Kto woła?!..

Słyszę: ztamtąd, zdaleka—to oni—te trupy w imię sztuki—wyją pijani w kawiarni, a błazny po tynglach z nich się śmieją: he, - he, - he!

Patrz! — oto lampa gaśnie. Już mnie ciemność grobowa płytą od świata oddzieliła. Ty się teraz mej woli oprzeć nie możesz!.. Nie widzę, nie słyszę, nie czuję nic! — Tobą być chcę, ciałem i krwią Twoją i duchem Twym, — woli twej objawieniem!..

Ty po grzęzkich bagniskach nad życia zgnilizną, ponad próchnicą zgliszczy błądzący, biały, zwiewny, święty duchu...

— Spłyń!..

...Już cichą, ciepłą słoneczność kobiecej dobroci czuję, z chłodu twych dłoni odkupienie biorę. W mych lepszych uczuć agonii ostatnim przebłysku!

Już zapach włosów Twoich czuję, już puchowe dotknięcie ramion twoich wskroś ciało me przenika.

W kochania mego szale przedśmiertnym!

Przyjdź wiewem, zjaw się cieniem, powstań upiorem.

— Choodź!..

Patrz, — ja wskrzeszam w myśli moc wielką, bo wszystkich grzechów moich jawę i świadectwo!.. W trumnie ciało me niebawem legnie, a ty tej grobowej skrzyni pokutnem wiekiem będziesz, jeśli się nie zjawisz! Ja cię tem strasznem przekleństwem do nóg mych przykuję.

— Jaw się i stań!..

I słyszę — szloch... Twoj, Zochna, płacz rozpaczny!.. Czego?.. czego ty tam płaczesz w tej chwili?.. Kogo szukasz?.. W tym blasku lampy czerwonym... Upadniesz, upadniesz z lampą!.. Chryste, ona się zapali!..

I te ciszy grobowej głuche dudnienie słyszę, godzin ciężki, ołowiany chód, tych godzin najbliższych, co się po klęsce pogrzebowym krokiem wloką.

Słyszę: — padł strzał! — Szum skrzydeł mu nie zawtórował... Widzę: — osadził się ptak na gałęzi, chwieje się, lecz nie spada. Osunął się: bije ciałem po gałęziach, liście strąca, skrzydłami łopoce, czepia się... znów się stacza, pada, bije, — wyrznął o ziemię i krwawi! Dyszy... Znów się porywa: tuż, tuż ponad ziemią jak kula sunie, czołga, wzbija się; znów pada, na wznak się wali i skrzydła kurczowo pręży. Dyszy. Pławi się we własnej posoce.

I widzę cienie dwóch rąk, co się po niego wyciągają... Ratuj duszę!.. Znów się porwie: po ziemi kulą sunie, krwawą strugą barwi... A te cienie rąk pełzną po wszystkich ścianach, ślizgają się jak węże... Dłonie, dłonie drapieżce!..

Uduszą mi ptaka!.. Chryste panie, ptaka Twego Bożego!..

Zgasło. Przesiliło ciało moc moją. Już turkot wozów słyszę na ulicy... Opuściły mnie siły moje. Ciało czuję, ból czuję. Tu w piersiach dławi, dusi... I ten chłód, ten chłód okropny na czole, i to zamroczenie nagłe!.. Wiem, co to znaczy: — chustki! — miski! — lodu! — Dobrze, iż lampa zgasła: nie chcę widzieć tego. Ukryję się z tem, ślady zatrę, nie chcę, by mi Jelsky swą wyższość zdrowego zwierzęcia współczuciem okazywał. Nienawidzę współczucia!

A potem, sen krótki, gorączkowy; — a może omdlenie. Po zbudzeniu się trwoga, dziki lęk przed śmiercią i ta skrucha za chybionem życiem, zmarnowanym posiewem. Jesteś, karzący mieczu życia? jesteś, szatanie mój? A trwoga ma i skrucha i żal jednym tylko okrzykiem wołać umieją:

Pisać chcę!!

Jesteś, złej godziny mych narodzin klątwo nieubłagana, zjawiasz się nawet w godzinie śmierci, aby mię spowiedzią dobić.

Pisać chcę!!

...Rozwiały wiatry mej samotności płodne zasiewy. Na mych tęsknot pustyni kraczą tylko kruki nad ciał i duchów padliną. Wszystko, co lepsze, głębsze,

trwalsze, runęło w gruzy. Więc już nic nie wskrześnie? nic ciałem wizyi się nie oblecze? nic nie zmartwychwstanie w marzeń moich ostatnim mirażu? w nowego życia krzyku daremnym? Zmarniały dobre zasiewy, — niechże więc kąkol wzejdzie i świadczy o życia mego krzywdzie i rozpaczy! Legło me dobro, niechajże zło moje swoj sabat święci ostatni! — A potem niechaj duch moj wraz z ciałem w piekło się zwali!

A więc kieruj ty mem piórem, szatanie, ty, co patrzysz także w sumienia czcigodnych i zasłużonych, w szlachetnych oburzeń bezmyślność i kłam.

Ty, fałszu życia płaszczu świątobliwy,
krwawego znoju bliźnich złotodajna żyło,
bólu szlachetnych przepaścista studnio,
pochłoń mnie! zatrać mnie, bom w ostatniego Boga
ostatnią stracił wiarę!
Bezlitosnych udręczeń hojny ty szafarzu,
tajemnych przeznaczeń czarna twórcza ręko,
budujących bogów potępiony młocie,
nowych wartości nieśmiertelny twórco,
Szatanie, bądź wola Twoja!

Jelsky słaniał się wciąż jak fakir: otumanił go ten dymny czad i, zda się, wszystkie wrota zmysłów zamknął, aby jakieś inne drogi trwożnym czuciom i niepokojom

otworzyć. Oto wsparłszy głowę na ramionach słyszy szept twardy, ostry, dobitny, jak uderzenia młota w czaszkę:

— *Wszak hojnie darzę rozkładem uczuć i ducha rozterką? Wszak hojnie ziarna sztuki sieję?.. Patrz! — jam jest sztuki waszej zabójczą potęgą!*

I w tejże chwili czuje, mimo że resztką władz tę myśl z uporem tłumi, czuje, że poza nim, tuż koło drzwi, ktoś w tej chwili stoi. Twarz bezradnie w ramiona ukrywa i szepcze cicho: „Boże mój, Boże, co to jest?“ — Lecz w tymże momencie zrywa się błędnie i spoziera po za siebie.

— Müller?! — krzyknął krótko, a usta jakby w oczekiwaniu odpowiedzi pozostały uchylone.

Powrócił, znaczy się! — Ale milczy! — Peleryną swą otula się tylko szczelnie, głowę w kołnierz wciska, pochyloną twarz beretem przysłania... Stoi i milczy jak cień: w ciemnym kącie czarny, zamarły i dziwnie wyższy, dziwnie...

— Müller, — ty?!..

Jelsky czuje, jak mu mięśnie krzepną, drętwieją, skuwają się tą przeraźliwą niemocą gorączkowego snu. A tamten stoi pode drzwiami: czarny, zimny, pochyloną głowę beretem przysłania... Ramiona na piersiach skrzyżował i...

Spojrzał!..

Jelsky'ego jakby między oczy coś uderzyło: rzucił się w tył i ramionami załopotał. W sobie się zebrał, wtulił i twarzą do własnych dłoni przypadł. Bez wiedzy i woli, odruchowym jedynie instynktem dobrej krwi, chwycił krzesło i puścił je z całych sił w tamtym kierunku. Roztrzaskało się o drzwi na kawałki. Łoskot ten zbudził Jelsky'ego i spłoszył mu zmorę z przed oczu. Zatoczył się do okna,

uniósł roletę i szarpnął zawiasy. Chłód wtargnął do pokoju, ciężkie dymy poczęły się wykłębiać na ulicę.

Mroźne powietrze poranku drgało czystem, dźwięcznem i pośpiesznem dzwonieniem sygnaturki kościelnej:

Ave - Maria - gratia - plena!

Na dachach domów sąsiednich kładł się szronem biały świt.



(Ciąg dalszy). Wacław Berent.

Z poezyj Teodora de Banville.

ŻYCIE I ŚMIERĆ.

Ujrzałem twórców, marzycieli,
Szlachetną gniewnych orłów brać,
Na czól im wzniosłych czystej bieli
Znak Prawdy święty było znać.

A koło nich, jak dwa posągi,
Zrodzone w jednym twórczym śnie,
Związane wiecznie, dziś i ongi, —
Życie i Śmierć, siostrzyce dwie.

Ot Homer, żebrak wiekopomny;
Ajschyl bez żółci w sercu cnem,
Łysy, w starości dniach bezdomnej
Smagany mroźnym wichrów tchem;

Pindar, liryzmu źródlo świeże,
Myrtisa boski uczeń; z rąk
Smiało mu król cytarę bierze,
Jak koźlę lilii zdziera pąk;

Oto mój ojciec Arystofan,
Ohydnych rażon kalem słów,
Walczy przed ludem, co klnie — profan,
Za bóstw Ajschyla święty huf;

Oto Sofokles pije męty
Tryumfem niegdyś wrzących czar,
Skarżon o obłęd, odepchnięty,
Od dzieci swych ma wzgardy dar;

Oto Owidyusz, czoło znaczy
Mu straszne piętno, trwożny zbieg
Mleko sarmackiej pije klaczy
W stepach, gdzie wiatr, a mróz, a śnieg;

Ot na wygnaniu Dant; ot Tasso,
Co nagle w obłęd dziki wpadł,
Świeci wybladłej twarzy krasą
Z za czarnych turmy ciemnej krat;

Podobny lwu, co wzdycha, kona
Pod podłym batem strażnych sług,
Na żołdzie nędznym histryona
Oto — niestety! — Szekspir-bóg;

Oto Cerwantes, rab znękany,
W kajdanach swój wylewa żal;
Kamoens, brocząc z ciężkiej rany,
Z grzywami wściekłych walczy fal;

Oto — tak igra los zuchwale,
Bezmyślnie drwić z człowieka rad —
Corneille w ulicznym stąpa kale
W trzewikach pełnych dziur i łat;

Cny bałwochwalca Racine pada,
Przez teatralny olśnion grom,
Który na korne sług swych stada
Miotał Ludwika wzrok — na srom;

Chénier, z którego celnych grotów
Każdy w ofiary piersiach tkwi,
Broczy bezmyślnych nóż szafotów
Purpurą cudną swojej krwi.

Świecąc pierwotną swą świetnością,
Wygnańcy ci niebiańskich gniazd,
Pochodnie święte przed ludzkością,
Żrenice mieli pełne gwiazd.

O nasze trwożne bijąc uszy
Z łoskotem dźwięcznym słonych fal,
Głos ich ogromny grzmiał śród głuszy,
Jako bezdenna morza dal.

A śmiech ich, pełny skier i błysków,
Zdawał się miotać w świata step
Strzały podobne do pocisków,
Jakie wyrzuca łucznik Feb.

Jednak, bez szczęścia, bez schroniska,
Pod nieb niechętnych mroźną mgłą,
Śród — królów, tłuszcz — urągowiska,
Wlekli przez wieki nędzę swą.

Z zapalczywością gniewów całą,
Co drogie im, zwiewając w dym,
Życie szarpało mdłe ich ciało
Wściekłym, niesytym zębem swym.

W motłoch wmieszawszy ich żebraczy,
Którego losem — wzgarda, szyd,
Wiodło ich z miast do miast, tułaczy,
W łachmanach szat — na srom, na wstyd;

By wywrzeć wściekłe jady swoje
I zgnieść ich cały święty ród,
Zlewało na nich zniewag zdroje,
Nędzę, wygnanie, chłód i głód;

I gnało w dal nędzarzy smętnych,
Bez wiary już w odkupień dzień,
Zmazawszy biel ich czół poświętnych
Kałem nieczystych ślin i tchnień!

Lecz wreszcie drużka pewna, wierna,
Wyzwalający niosła zgon;
Zmywała krew Śmierć miłosierna
Z ich nieznających zgryzot łon.

Wzorem surowych tych piastunek,
Co jednak pieszczą, kojąc łzy,
Miru im kładła pocałunek
Na ustach mdłych, kołysząc w sny.

Przed ich stopami powitalny
Kobierzec słała w blaskach zórz
Z kraśnej purpury tryumfalnej —
Zwycięztwa znak śród nędz i burz.

A czoła ich promienne chwałą,
Przed zbójczym ludem, który iść
Za nimi nie chciał, dłonią białą
Wieńczyła w lauru czarny liść.

Z „KARYATYD."

Ach, już nie pojdziem w bór,
[wawrzynów ścięto liść.
W basenie Amor-trzpiot
[i Najad białe mary
W słonecznych widzą skrach
[kryształów z lodu kiść
Zamiast milczących strug, co
[lały się z ich czary.
Wawrzynów ścięto liść, na
[grzmiący rogów chór
Uszczwany jeleń drży; już
[nie pójdziemy w bór.
Gdzie dziatwy żwawy rój, w lipcowe wonne skwary,
Po lilie pełne ros, co ranek rwał się iść,
Dziś koszą resztki traw, wawrzynów tną sztandary.
Już nie pójdziemy w bór, wawrzynów ścięto liść.

ZE „STALAKTYTÓW.“

Pójdź. Słomiany kapelusz włóż
[na czarne włosy.
Zanim wrzawa się zbudzi,
[zabrzmią pracy głosy,
Pójdźmy zobaczyć ranek, jak
[na górach wstaje,
I z ulubionych kwiatów obrać
[łąki, gaje.
Nad brzegami źródełka
[zmarszczonego lekko
Nenufary złocistą mrugają
[powieką;
W pół głębokiem milczeniu, w cichej sadów głuszy
Zostało coś, jak echo piosenki pastuszej,
A wietrzyki poranne, błędni bracia-gońce,
Strzepując jakby dla nas swe skrzydła pachnące,
Rzucają już na ciebie, uśmiechnięte dziecię,
Wonie brzoskwiń różowych i jabłonek w kwiecie.

ZE „STALAKTYTÓW.“

SKOK Z TRAMPOLINY.

Cudowny klown, wierzajcie mi!
Ja ufam sam, że przyszłe dni,
Których wciąż drgają widnokręgi,
Z tą raną w boku ujrzą go.
Miał ubielone twarzy tło
W żółte, zielone, krwawe pręgi.

Po Madagaskar gdzieś aż het
Dobiegło imię jego wnet,
Bo według zasad (to nie bajki!)
Po coraz mniejszych próbie kół,
Jakby trudności żądzę czuł,
Przez okrąg wreszcie skakał fajki.

Ciężkości praw nie musiał znać,
Nie wiedząc sam, wleźć mógłby snadź
Na Jakóbowej szczyt drabiny.
Gdy światła nań padł złoty słup,
Purpurą błyskał jego czub,
Jak żar przez pieca lśni szczeliny.

Do wysokości wzlatał tych,
Że innych skoczków witał śmiech,
Gdy próżno wciąż prężyli siły.
Zniechęcal ich, tracili hart,
Mruczeli gniewnie: „Chyba czart!
Żywem mu srebrem drgają żyły.“

Lud cały mu oklaski bił.
Lecz on, dobywszy nowych sil,
Do skoku sprężył się w połowie,
I — komu? co? któż wiedzieć mógł? —
Ten linoskoków król i bóg
Coś cicho szeptał w obcej mowie.

On trampolinie mówił swej:
„O sceno ma, dziś dać mi chciej,
Swą inspiracyę fantastyczną!
Przyrządzie, co wzruszeniem drżysz,
Gdy rozpęd biorę, mocniej wzwyż
Pchnij mię potęgą elastyczną!

Jam zwinny dziś, jak dziki kot.
O, daj mi skok! o, daj mi wzlot,
Ty, desko wątła a sprężysta,
Wysoko tak, by oczom znikł
Cały ten fraków czarnych szyk,
Gdzie handlarz — ten, ten — biuralista!

Przez niepojęty jakiś cud,
Jeżeli możesz, daj mi rzut
Aż do wyżyny niewidomej,
Kędy swobodnie — plącząc, rwąc
Złociste wlosy planet, słońc —
Orły mijają się i gromy.

Aż do eteru gwarnych sfer,
Gdzie wycieńczone tchnienia w szmer
Bezsilny łącząc. w czarne noce,
Wichry, pijane żądzą złą,
Stargane, wściekłe, ciężko śpią
Na bladem łonie chmur w pomroce.

Wciąż w górę, w dal, pod niebios sklep!
Aż w te lazury, których step
Ruchomej turmy naszej dachem!
Aż po tych Wschodów krwawych próg,
Zkąd płomienisty wstaje bóg,
Szalony gniewem i przestrachem.

Wyżej, wciąż wyżej! jeszcze ztąd
Giełdziarzy w złocie widzę rząd,
Krytyków, panny żądne sidel
I realistów świat naplask.
Powietrza! światła! w błękit! w blask!
Ach, skrzydeł! skrzydeł! skrzydeł! skrzydeł!“

I z giętkiej deski swej, jak ptak,
Kłown wzbił się w lot szalenie tak,
Że śród powietrznej przebił jazdy
— Przy wrzawie trąb — płócienny dach
I, w pragnień swych wciąż tonąc snach,
Potoczył się pomiędy gwiazdy.

Z „ÓD LINOSKOCZYCH.“

WYGNANIE BOGÓW.

Bór posępny, złowrogi, groźny,
[na północy
Gallii. Sprężona, resztki
[dobywając mocy,
Gęstwa potwornych dębów
[służy miast podnóża
Wielkim, czarnym chmurzy-
[skom, zkąd wnet spadnie burza;
Ranek, drżąc, się przebudza,
[i już pierwsze gońce
Zórz drasnęły niebiosa, krwi
[strugą broczące.
Wszystko żałobne, blade; wichrem rwane liście
Jęczą; myślom bolesnym oddane wieczyście
Olbrzymy, skały głuche, po widnokrąg czarny
Jeżą się, w swej rozpaczy pogrążone marnej!
Biała w szarym półbrzasku, pośród mgły rozlanej.
Kaskada szlocha cicho w swem więzieniu z piany.
Liżąc zielone sosny o miedzianej korze,
Faliste morze kąpie podnóża ich, morze

Smętne, kędy co chwila, skupione w gromadki,
Cezara Konstancyusza przebiegają statki.

Wtem — o zgrozo! żałobo! — kędy brzeg się spiętrza,
Ziemia wstrząsa się lękiem i drży aż do wnętrza,
A na jej chropowatem, trwogą zdjętem łonie
Niebiańskie rozlewają się ambrozyi wonie.
Wielki wiew oszalały szeleści w gęstwinie;
Jakaś złocista światłość błyska z za drzew, płynie,
Rośnie, wieszcząc tajemne a święte spotkanie,
I tam — bezkresne nieba! — na leśnej polanie,
Walczący ściemionym blaskiem z dniem, co w mgły się słoni,
Znękani, w ranach, mrący a wzniośli, to oni,
Oni, wielcy wygnańcy, bogowie! — Nędzarze!
Dęby zgarbione laty, klonów smukłe straże
Płaczą ich. Oto oni. Oto Zeus, Apollo;
Tuż Afrodyte, bosa (a nad czarną rolą
Stopa jej ma róż świetność z gwiazd połyskiem śnieżnym!);
Atena, która niegdyś, w eterze bezbrzeżnym,
Z jasnym wzrokiem, gdzie ogień walczy ze słodyczą,
Była błękitnych niebios głębią tajemniczą;
Dionyzos, Hefajstos, Hera, smętnie lice
Chyląca; wszyscy inni — ziemię niewolnicę
Depcząc — idą. Królowie pozbawieni mocy
Idą ku zapomnieniu, wygnaniu, ku nocy,
Straszni swą rezygnacyą, bledsi nad marmury,
Krwawiąc czoła o sęki zwisające z góry,
A czasem, gdy tak idą, gromada milcząca,
Znużenie tej wędrówki bez kresu, bez końca,
Wyrywa z ust ich boskich jęk nagłego łkania,
Lub westchnienie straszliwe, które pierś rozrania.

Bo odkąd urągliwe cezary, o sławę
Ich zazdrosne, jak wilków wygnały ich ławę,

Odkąd złote pałace w gruz padły ze szczytów
Olimpu opuszczonych, mocarze błękitów
Błądzą, znając łez gorycz, deptani zwycięzką
Stopą głodu, starości, poddani wszem klęskom,
Wszem bólom, przed któremi ludzie drżą strwożeni,
I krew skłóte cierniami nogi ich rumieni.
Zeus, dziś starzec zgrzybiały, drży z zimna; skostniały,
W szmat purpury się tuli, włosy mu zbielały,
Zbielała broda; w głębi, gdzie wschód się rozpala,
Małżonki za nim smętne śród mgieł idą zdala.
Hera i Eurynome, Metis, Themis, Leto,
Wszystkie są tam, a każda trwożną jest kobietą.
Każda płacze. U czół ich, uwilżonych rosą,
Lata orzeł, gdzie skrzydła strzaskane go niosą.
Ten, co ongi Pythona, straszną zabił żmiję,
Świetny bóg ów likijski, w fałdach płaszcza kryje
Swój srebrny łuk — złamany. Smutny w świętym szale,
Dionyz miękkiej Azyi płacze zniewieściale,
A owe nagich kobiet rozszalałe zgraje,
Co niegdyś biegły za nim przez nieznane kraje,
Rozdętemi nozdrzami wiewy chłonąc wonne,
To dziś cienie, widziadła, wynędzniałe, płonne.
Hermes, zwinąwszy skrzydła, idzie na ustroni,
Marząc; thyrsos mu złoty dawno uwiądł w dłoni.
Atena, krwawy Ares, stanąwszy u kępy
Ożyn jedzą jagody; ze zbroic ich — strzępy.
Demeter, blada jeszcze po zniesionej męce,
Wiedzie córkę, piekielnej wyrwaną paszczęce.
Tylko Artemis płowa, groźnie chmurząc lice,
Rzuca się jeszcze wkoło i gwiezdne źrenice
Wbija w posępną ciemność pod boru namiotem,
Szukając nieprzyjaciół, by sięgnąć ich grotem,
A u kolan jej dmie się i furkocze głucho
Tunika lazurowa, rwana zawieruchą.

Tymczasem, oczy wbiwszy w tór drogi tulaczej,
Muzy przeciągłe pieśni śpiewają rozpaczy
O zniewadze wygnania, co lży ojca głowę,
I burzą wybuchają ich hymny surowe.
W głosie ich wszystkie niebios straconych gorycze;
Drzewa, skały, zakąty boru tajemnicze,
Czarne groty, ziejące z ciernistej gęstwiny,
Współczują im, i morza wrzawliwe głębiny
Wrą ode dna, a na ich fali rozhukanej,
Zgrzybiały, dzierżąc złomek trójzęba strzaskany,
Pojawia się Posejdon, niesiony na grzywach
Wałów. Za nim — zbiegowie na podmorskich niwach,
Pontos, Keto i Nereus, Forkis, Tethys, cali
W pianach, jękiem żałosnym skarżą się śród fali,
O skał cyple w rozpaczy tłuką czoła blade,
A roje Okeanid, zbiwszy się w gromadę,
Szarpią śnieżne swe łona i żalą się męce
Wielkich bogów, ku niebu cudne prężąc ręce.
Boleść z ust im wydziera śpiewy dumy dzikiej,
Zmieszane z nienawiści wściekłemi okrzyki.
A z wybrzeża — tych szlochań, tych skarg strasznej burzy
Afrodyte, czcigodna córa fali, wtórzy!

O boleści! jej cudne, z czystych śniegów ciało,
Znosząc wichów zazdrosnych i burz gniew, zsiniało;
Jej krągłe, twarde piersi, chłostane z kolei
Skwarem słońc i mrożących podmuchem zawiei,
Drgają całe, gdy krzyk ten rwie się z nich ponury.
Twarz Kitajrei boska, wyniosła, na której
Nic świętego nie zdoła zatrzeć majestatu,
Ma zawsze świetność gwiazdy i różaność kwiatu;
Lecz puszczone, stargane kędziory słoneczne
Spadają na ramiona i kształty ich mleczne
Rzeką roztopionego zalewają złota.

Żywe światło ich — pożar w gąszcze boru miota.
Wicher pląсze je, szarpie, rzekłbyś, że ich fala
Jej wnętrznym bólem płacze, żalem się rozżala,
A gdy wielka królowa chyli skroń, splot siwy
W powodzi tego złota świeci połyskliwéj.
Łzy Kiprydy spaliły długie rzęs jej włosy.
Drżąc, i ona wygnańcze opłakuje losy
Wielkich bogów, i podczas gdy rój Okeanid
Jęczy w morzu, jałowo grzmiącem w brzeżny granit,
Ona mówi w te słowa, a śmiech pełny szydu,
Wzdymającej jej serce rozpaczy i wstydu.
W zmroku, gdzie bój się ranka z czarną nocą iści,
Daje skargom jej gorzkim brzmienie nienawiści:

„Żertwy nasze! królowie potworni, tytani,
Których my strąciliśmy do Czasu otchłani!
Pierworodni Chaosu, o gwiaździstych włosach,
Których tchnienie, spojrzenie wybuchały w ciosach
Orkanów! o Japecie! o Hyperionie,
Starszy od dziadów naszych! Dyono, co w łonie
Nosiłaś mię! i ty, co — szlakiem zwycięztw, chwały —
Wzbiłeś się z dna Erebu, gdzie skrzydła twe spały,
Ty, najpierwszy, nájstarszy z wszech bogów, Erosie!
Patrzcie, precz nas gna człowiek, cios nam śle po ciosie,
Krew wasza znów na zbójczych rękach naszych błyska,
Zwyciężeni pierzchamy w lasy, trzęsawiska.
Tak! pierzchamy! Ócz naszych, niebios toni zmiennej,
Nie odbija już w sobie szlak rzek srebrnopienny.
Życie, błogosławione, ukochane Życie
Samo nas się zapiera, nie chce nas mieć w Bycie.
Szczęśliw-żeś, zbójco nędzny bogów swych, człowiecze?
Puszcz głębie, góry, niebios promienne odwiecze —
Puste dziś, fale — puste: to królestwo twoje!
Któż pocieszy cię teraz, pokrzepi na boje?

Źródełka leśnych dolin głosu już nie mają,
Nie mają głosu groty, zbrakło głosu gajom,
Oniemiała ta, z której piłeś, wieszczu, struga!
Morze — nieme dziś, ziemia — niema dziś jak długa,
Nie cię nie zna na modrą puszczę niebios całą.
Słońce, ogniste słońce bogiem być przestało,
Już nie widzi cię! Z tego, co drga, żyje, dyszy,
Świeci, z tego nic dzisiaj nie zna cię. W tej ciszy
Nikt dziś nie wie, zkądeście, włóczęgi bezdomne,
Nikt nie powie: „To człowiek. Ja go znam i pomnę.“
Z Przyrody dziś już tylko groźna mara pusta,
Bo złamane jej serce już nie bije. Usta
Jej — zawarte, gwiazd oczy — wyłupione. Nie śnij!
Niedokończonych — nigdy nie dokończysz pieśni,
A dzieci twe, nie wiedząc, co to natchnień wiry,
Spytają cię, czemu tyś nazwę dawał Liry!

Oh! czyś śpiewał, czyś boje bojował najkrwawsze,
Myśmy z tobą mówili półgłosem! I zawsze,
Słysząc szept nasz, u twarzy czułeś niespodzianie
Słodkie wonnych kędziorów naszych boskich wianie.
Teraz ciesz się — i w trosce łzami zmywaj lico.
Oto-ś nagi pod Tego straszliwą źrenicą,
Który widzi powstanie, życie, śmierć tysięcy
Światów i gwiazd, stuleci, i lat, i miesięcy,
I przed którym źdźbło prochu równe jest, czczy dymie,
Tym łzom nocy, którym ty słońc nadajesz imię.
Stało się. Już nie będziesz u wód żywych zdroju
Pił nektaru poezyi! Bogowie bez boju
Odchodzą, aby umrzeć, ale i ty zwolna
Konać będziesz, nieszczęsny. Owa mimowolna
Ekstaza, owo słodkie życiem upojenie,
Ów pocałunek rzeczy, który niezwalczenie
Drgał na ustach twych, prąd ów radości, miłości

Już w tobie, gdy go nie chcesz, nigdy nie zagości!
Nie zakwitną już nigdy myśli twe, olśnione
Czarem białych nagości. To życie — skończone.
Znoś szpetność, ból. Pokutuj, niepewny i trwożny.
My, tymczasem, wygnani przez twój szal bezbożny,
Pierzchamy, zapadamy w otchłań tajemniczą
I stajem się nicestwa straszliwą zdobyczą.
Żegnaj, Hellado! lasy, góry i doliny,
Żegnajcie, zdroje żywe, marmury, wawrzyny!
Lecz, człowiecze, gdy Noc już włosów naszych złoto
I czół blaski pochłonie, ty jeszcze z tęsknotą
Westchnień naszych czuć będziesz wianie w swej ustroni
I nasze — ojcobójco! — łzy na swojej skroni!"

Tak, w boskim gniewie, z bólem mówiła i trudem
Czcigodna Afrodyta. Nad listowiem rudem,
Cały krwawy, zdobywca padłej mroków ściany,
Wstał Dzień, w ciemny, złowieszczy półzmierzch przyodziany.
W dół olśnione światłością opuściwszy oczy,
Wielcy bogowie, we łzach, śród mgły nieprzezroczej
Mdleli, topnieli w ogniu słonecznych promieni
I zanikali smutnie pośród błędnych cieni,
Zkąd jeszcze ich znękane wybłyskały skronie.
Afrodyta, królowa w słonecznej koronie,
Ze swem łonem różanem i białością śnieżną
Zdała się też rozpływać pod płachtą bezbrzeżną
Mgły niepewnej, posępnej, zostawiając tylko —
W miejscach, kędy swą jasność rozlały przed chwilką
Jej pierś bez skaz liliowa i kędziory lśniące —
Jakby odbicie śniegów i ognia gasnące.

Z „WYGNAŃCÓW."

PRZEŁOŻYŁ **Miriam.**

Ἕσπερε, πάντα φέρεις.

Odpłynę z pierwszą falą za złowrogą a jasną gwiazdą Lucifera, co po nieprzejrzanych morzach śmiałe serca ludzkie na zagładę wodzi.

Odpłynę, gdy na śnieżnych szczytach najwyższych gór wytli się o zachodzie różano-złota zorza, gdy wonny letni zmierzch przymgli niebo i zamroczy oddale. O tej porze falują nad wodami melodye, pełne cudnej i niewysłowionej melancholii, i drzewa szumią, jak gdyby śpiewały. O tej porze najsłodsze są usta, najpieszczotliwsze łona i najpiękniejsze oczy dziewczęce. I wszędzie kwitną cudy, i wszędzie zamykają się kwiaty, a otwierają dusze ludzkie, podobne do kwiatów.

O tej porze, na tarasie marmurowego pałacu, co wśród rozkwieconych i szumiących gajów wznosi się wysoko nad ciemnem morzem, żegnać będę moich przyjaciół —

moich przyjaciół młodych i pięknych, w których źrenicach tlą się orle sny, których dusze są jako żywe źródła twórczej mocy i tajemniczej krasy.

Przy świetle smolnych pochodni, których płomienie wichrzą się i szumią smutno na powietrzu, będziemy pili wonne, złociste wino i będziem rzucali dźwięczne czary w morze. Będziemy śpiewali kołyszące się z chwiejną falą pieśni i będziem rzucali płonące pochodnie w morze, —

będziemy rzucali w bezdenne wiry płonące pochodnie, aby, lecąc w ciemność, krwawiły się groźnie i boleśnie, jak się krwawią strącone z jasnych szczytów dumne serca ludzkie.

A kiedy zatonie ostatnia dźwięczna czara i zagaśnie ostatnia smolna pochodnia, zejdę w półjasną głąb' rozkwieconych i szumiących gajów, gdzie mnie czekają moje siostry —

moje siostry, mlode i piękne, w których zadumanem oku przygasa o wieczorze zimny blask klejnotów, a zapalają się drżące gwiazdy tęsknoty.

I będę patrzał, jak ich wiosenne, smukłe ciała przelatują w rytmicznym tańcu po miękkiej zieleni pachnących traw, —

jak im w rozwiane, śliczne włosy osypuje się z rozwahanych drzew woniejące kwiecie na podobieństwo gwiazd, które się z dróg mlecznych osypują nocą w wezbrane, rwące rzeki.

I będę słuchał ich pieśni, w których cieniu, jak w cieniu wierzby płaczącej, dobrze jest spocząć na chwilę tułaczej duszy.

A zanim odejdę, wezmę od każdej siostry mojej pocałowanie jest ust, a z włosów jej kwiecie, któremu krasą podobna: —

z balsamicznych, płowych włosów pierwszej, co ma oczy modre i świetliste jak przejaśniony błękit, wezmę różowiejący kwiat jabłoni;

a z pozłocistych, miedzianych włosów drugiej, której źrenice mienią się posępnie jak szmaragdowe dalekości wystygłych mórz polarnych, czarną gałązkę cyprysu;

i wezmę kwiecie z włosów tej, w której źrenicach świecą łzy jak opalowe perły na dnie przeczystej krynicy, i tej, której oczy błyskają, jakby się w nich co chwila rozniecały i gasły błędne ogniki, i tej, której oczu, świetniejących blaskiem ametystu, nigdy pod długą rzęsą dojrzeć nie można.

A z hyacyntowych, kruczych włosów ostatniej, której oczy jak u jasnowidzów czarne są, promieniste i jak śmierć wszechmocne, wezmę kwiat granatu, gorejący mistyczną purpurą. I czując, że mi twarz niemieje od długo tajonego bólu, pochylę się do jej stóp, jakgdyby po złoty klejnot, co się osunął z jej jasnej ręki między rosiste trawy i fijołkowe kwiecie.

Wtedy na niebie, na odwiecznem, szafirowem niebie rozbłyśnie złowroga gwiazda Lucifera. Poprzez splątaną gęstwę liści i drżących puchów kwietnych prześlizną się jej modre promienie i ku rozwidnionym błękitom podniosą łagodnie moje oczy olśnione.

I pójdzie za nią łódź moja, i poleci za nią serce moje w śpiewające cisze. A gdy wichry zawieją szaremi mgłami pustkowia wodne, gdy nagle błyskawica targnie ścmionem niebem i ukaże wśród mroków nad lecącą w bezdeń łodzią słaniające się orły morskie, —

wtedy wszystko dokoła pocznie się stawać snem, pięknością i niepojętem, nienazwanem szczęściem, jakie może było w przededniu stworzenia.

Stanisław Wyrzykowski.

Modlitwa przed czynem.

FRAGMENT.

Odsuń mi, Panie, na jesień żywota
Dzień mego czynu... Oto stoję w wiośnie,
A karmią wiosny jest dzieła tęsknota...
Niech widzę, jako krzew mój bujnie rośnie,
Jak się w rozkoszy rozwoju szamota
Z wichrami, kiedy burza go ochłośnie...
Odsuń na jesień życia cel mój, Panie.
Wszakże rozkoszą wiosny dojrzewanie...

Bo oto dusza ma jest jako drzewo
Złotemi ziarny pszczół owiane rojnie,
Olśnione blasków słonecznych ulewą,
Dojrzewające ciężarnie, spokojnie,
Pyszną soczystych owoców odziewą,
Dorodnym plonem obarczone hojnie...
Piękno me teraz na soki się zmienia
W cudownej pełni świętego rodzenia...

Duch mój jest ciężki wnętrzną swoją treścią,
Bo owoc jego jeszcze nie strząśniony...
Szczęśliwą, pełną rozkoszy boleścią
Stawań się zwolna źrzeje upojony...

Jam teraz latem, cudowną powieścią
O przyszłych żniwach, co bogate w plony
Zbliża się w blasku chwały i zieleni...
Odsuń mi zbiorów czas i czas jesieni...

Duch moj jest drogą do celu, pochodem
Ciągłym, dążeniem wprzód nieustającem...
Nie bierz mi, Panie, w życiu mojem młodem
Rozkoszy ruchu i pędu! Stojącem
Jeziorem kres jest i spoczynku chłodem...
Nie daj, bym życia cel przed życia końcem
Osiągnął... Nie daj, bym jak spustoszałe
Był drzewo, które przeżyło swą chwałę...

Niedokonany czyn śpi jeszcze we mnie,
Cudnym zapasem jest moich śpichlerzy,
Wypełnia sobą moich skarbców ciemnie,
Jest siłą, która cicho we mnie leży...
Spełnione dzieło ucieka tajemnie
Z mojego ducha... między ludzi bieży,
Staje się złotym owocem, z jabłoni
Strząśniętym, skarbem jasnym cudzej dłoni...

Niedokonanym czynem jam bogaty...
Lecz idą parne przejrzałości noce.
Posłuszny jestem i niosę objaty...
Oto mi każą niezbadane moce,
Abym sam sobie dłonią był, co szaty
Złote mym sadom pozdziera, owoce
Moje... I duch mój musi treść swą stradać...
Idzie czas... Zaczną z drzew owoce padać...

Leopold Staff.



FILOKTET CZYLI TRAKTAT O TRZECH MORALNOŚCIACH.

AKT PIERWSZY.

Niebo szare, ciężkie, nad zaśnieżoną, lodowatą równiną.

SCENA I.

ODYSSEJ i NEOPTOLEM.

NEOPTOLEM.

Odysseju, wszystko gotowe. Łódź przywiązana liną. Wybrałem wodę głęboką, osłoniętą od Północy, bojąc się, aby morze nie zamarzło przy wietrze. A chociaż ta wyspa tak zimna nie zdaje się mieć mieszkańców, oprócz ptactwa gnieżdżącego się w skałach nadmorskich, umieściłem łódź w miejscu, kędy żaden przechodzień wybrzeżny nie może jej dostrzedz.

I dusza moja gotuje się także; dusza moja gotowa już do ofiary. Odysseju! mów teraz; wszystko gotowe. Przez dwa tygodnie, chyląc się nad wiosłami lub nad ste-

rem, wymawiałeś tylko twarde nazwy obrotów, któremi musieliśmy bronić się od walów morskich; twe milczenie uparte powstrzymało wkrótce moje pytania; zrozumiałem, że wielki smutek przygniatał drogą twą duszę, ponieważ wiodłeś mię na śmierć. I umilkłem także, czując, że wiatr unosił nam zbyt szybko wszystkie słowa na niezmierzoność morską. Czekałem. Widziałem, jak za nami oddalało się i nikło za widnokręgiem morskim piękne otwarte wybrzeże skyryjskie, kędy ojciec mój niegdyś walczył, potem złote piaski lub głazy wysp, które kochałem, bo przypominały mi Pylos; trzynaście razy widziałem słońce zstępujące w morze; co ranek wychodziło z fal bledsze i wznosiło się mniej wysoko i z większą powolnością; aż nareszcie, czternastego ranka, oczekiwaliśmy go napróżno; i odtąd żyjemy jak gdyby po za granicami nocy i dnia. Lody pływały po wierzchu morza; nie mogłem spać z powodu ciągłej bladej jasności, i jedyne słowa, jakie słyszałem z ust twoich, zwracały mi uwagę na ogromne kry, od spotkania z któremi ocalało nas odpowiednie wiosła uderzenie. Teraz, mów nareszcie Odysseju! dusza ma przygotowana; i to nie jak owe kozły Bachosa, wiedzione na objatę w ozdobach świątecznych, lecz jako Ifigenia postępująca ku ofiarnikowi z prostotą, przystojnością i bez przystrojeń żadnych. Niewątpliwie, wolałbym, umierając bez skargi dla dobra kraju, umierać, jak ona, w obliczu Greków, na jakiejś ziemi słonecznej, i okazać, przyjmując śmierć dobrowolnie, całą mą cześć dla bogów i całą piękność mej duszy; waleczna ona jest a nie walczyła dotąd. Ciężko, zaiste, umierać bez chwały... A jednak, bogowie! nie czuję goryczy, bom wszystko opuszczał zwolna, ludzi, wybrzeża słoneczne... i teraz, gdyśmy przybyli na ostrów ten niegościnny, bez drzew, bez promieni, kędy śnieg okrył całą zieloność, kędy wszystko naokół zmrożone, pod to niebo, takie białe, takie mgliste, że wydaje się

drugą równią śniegową rozciągniętą nad nami, — tak daleko, tak strasznie daleko od wszystkiego... zdaje mi się, że to już jest śmierć; myśl moja tak bardzo z każdą godziną stygła i oczyszczała się, tak bardzo omdlewał we mnie każdy ślad namiętności, że tutaj ciału już tylko pozostaje umrzeć.

Ale przynajmniej powiedz mi, Odysseju, że tajemniczy Zeus, ubłagany krwią moją wierną, odda Grekom zwycięztwo; ale przynajmniej, słuchaj, Odysseju, ty powiesz im, że za to umieram bez trwogi... powiesz im...

ODYSSEJ.

Dziecię, ty wcale nie masz umrzeć. Nie uśmiechaj się. Teraz powiem ci wszystko. Słuchaj, nie przerywając mi. Gdybyż ofiara jednego z nas dwóch mogła bogów ubłagać! To, co przyszliśmy spełnić tutaj, Neoptolemie, mniej łatwem jest niżli umrzeć...

Wyspa ta, która wydaje ci się bezludną, nie jest taką wcale. Zamieszkuje ją Grek; zwie się Filoktet, i ojciec twój kochał go. Wsiadł on niegdyś razem z nami na okręty, które w pełni pychy i nadziei wyruszały z Grecyi do Azyi; był to przyjaciel Heraklesa, i jeden z najszlachetniejszych między nami; gdybyś nie żył do dzisiaj zdala od pól bitwy, znałbyś już jego dzieje. Któż nie podziwiał wówczas jego dzielności? i któż później nie nazwał jej lekkomyślnością? Ona to, na nieznanej wyspie, u której zatrzymały się nasze łodzie, uniosła go i wtrąciła w nieszczęście. Wejrzenie brzegów było dziwaczne; złe przepowiednie osłabiały naszą odwagę. Ponieważ wola bogów, jak mówił Kalchas, nakazywała na tej wyspie złożyć objaty, każdy z nas oczekiwał, aby kto inny wysiadł pierwszy; wówczas to Filoktet ofiarował się z uśmiechem. Na wybrzeżu zdradziecka ukłóła go żmija. Z początku, z uśmiechem pokazywał nam Filoktet, wsiadłszy z powrotem na

okręt, małą rankę tuż koło stopy. Nie była ona tak niewinna. Filoktet przestał uśmiechać się wkrótce; twarz jego pobladła, a nieco później, błędne jego spojrzenia napełnił niepokój. Po kilku dniach noga nabrzmiała, ociężała; i on, który przedtem nie skarżył się nigdy, począł jęczeć boleśnie. Z początku wszyscy zbiegali się koło niego, aby go pocieszyć, rozerwać; nie udawało się to nikomu; trzeba było go uzdrowić; gdy wszakże stało się pewnem, że cała sztuka Machaona zgoła nie oddziaływa na jego ranę, — i ponieważ jednocześnie należało się obawiać, by jego krzyki nie osłabiły naszej odwagi, — statek zbliżył się do innej wyspy, tej właśnie, i zostawiliśmy go tam, samego z jego łukiem i strzałami, o które chodzi nam dzisiaj.

NEOPTOLEM.

Jakto! samego! zostawiliście go, Odysseju?

ODYSSEJ.

Eh! gdyby miał umrzeć, moglibyśmy byli zatrzymać go jeszcze jakiś czas między nami. Ale nie — rana jego nie jest śmiertelna.

NEOPTOLEM.

Lecz w takim razie?

ODYSSEJ.

Lecz w takim razie, czyż mieliśmy narazić na upadek dzielność wojska całego, skutkiem jęków jednego człowieka? Widać, że nie zrozumiałeś tego!

NEOPTOLEM.

Czyliż krzyki jego były tak przerażające?

ODYSSEJ.

Przerażające, nie: żałosne, zmiękczające litością dusze nasze.

NEOPTOLEM.

Czyliż przynajmniej nie mógł ktoś zostać, aby czuwać nad nim? Chory i sam tutaj, cóż miał począć?

ODYSSEJ.

Ma swój łuk.

NEOPTOLEM.

Swój łuk?

ODYSSEJ.

Tak: łuk Heraklesa. A zresztą, muszę ci powiedzieć, chłopcze; gnijąca jego noga wyziewała na cały statek najnieznośniejszą w świecie smrodliwość...

NEOPTOLEM.

Ah!

ODYSSEJ.

Tak. Nadto, choroba pochłaniała go całkowicie i czyniła nazawsze niezdolnym do jakiegobądź poświęcenia dla Grecyi...

NEOPTOLEM.

Tem bardziej. I my tedy, Odysseju, przybyliśmy tu...

ODYSSEJ.

Posłuchaj dalej, Neoptolemie: wiesz sam, ile pod Troją, oddawna skazaną, przelano krwi, ile zużyto dzielności, cierpliwości, odwagi; ogniska domowe zostały opuszczone i droga ojczyzna... Wszystko to nie wystarcza.

Przez kapłana Kalchasa bogi oznajmiły wreszcie, że tylko łuk Heraklesa i jego strzały, jako środek ostatni, umożebnią Grekom zwycięztwo. Oto dlaczego wyruszyliśmy obaj — błogosławiony niech będzie los, który nas wskazał! — i zdaje się, że teraz, gdy dotarliśmy do tej wyspy dalekiej, gdy wszystkie namiętności w nas wygasły, wielkie przeznaczenie spełni się nakoniec, i serca nasze, przejęte nawskróś poświęceniem, osiągną nareszcie cnotę najdoskonalszą.

NEOPTOLEM.

To wszystko już, Odysseju? A teraz, gdyś tak pięknie mówił, co myślisz robić? bo umysł mój wzdraga się jeszcze zrozumieć zupełnie twe słowa... Powiedz więc: po co przybyliśmy tutaj?

ODYSSEJ.

Aby zabrać łuk Heraklesa; czyliżeś nie zrozumiał?

NEOPTOLEM.

Odysseju, twoja-ż to myśl?

ODYSSEJ.

Nie moja, lecz bogów, którzy mi ją zesłali.

NEOPTOLEM.

Filoktet nie zechce go nam oddać.

ODYSSEJ.

To też trzeba będzie wydrzeć mu go podstępem.

NEOPTOLEM.

Odysseju, nienawidzę cię. Ojciec uczył mnie, aby nigdy nie używać podstępu.

ODYSSEJ.

Podstęp jest silniejszy od siły; on nie czeka. Twój ojciec zmarł, Neoptolemie; ja żyję.

NEOPTOLEM.

A czyż nie mówiłeś sam, że lepiej byłoby umrzeć?

ODYSSEJ.

Nie że lepiejby było, lecz że łatwiej. Niemasz rzeczy zbyt trudnej gwoli Grecyi.

NEOPTOLEM.

Odysseju! dla czego mnie wybrałeś? czemuż ja właśnie byłem ci potrzebny do tego czynu, który cała moja dusza potępia?

ODYSSEJ.

Bo ja sam czynu tego nie mogę spełnić: Filoktet zna mnie zbyt dobrze. Gdyby mnie ujrzał samego, podejrzewałby odrazu jakiś podstęp. Twoja niewinność będzie nam osłoną. Czyn ten musisz ty spełnić; jest to konieczność.

NEOPTOLEM.

Nie, Odysseju! klnę się na Zeusa, że go nie spełnię.

ODYSSEJ.

Dziecko, nie mów o Zeusie. Nie zrozumiałeś mnie. Posłuchaj. Ponieważ udręczona dusza moja ukrywa się i zgadza, sądzisz-że, iż mniej smutny jestem od ciebie? Ty nie znasz Filokteta, a Filoktet jest przyjacielem moim. Mnie zatem ciężej jest zdradzić go, aniżeli tobie. Rozkazy bogów są okrutne. Oni są bogami. Jeżeli nie mówiłem ci nic w ciągu żeglugi, to dla tego, że wielkie serce me w udręczeniu zapominało słów niejako... Ale ty uno-

sisz się, podobnie jak twój ojciec, i nie dajesz się przekonać.

NEOPTOLEM.

Ojciec mój umarł, Odysseju; nie mów o nim; umarł za Grecyę! Ah! walczyć za nią, cierpieć, umrzeć — żądaj, co ci się spodoba, — tylko nie tego, bym zdradzał druhów ojcowskich!

ODYSSEJ.

Dziecię, posłuchaj i odpowiedz mi: nie jest-żeś przyjacielem wszystkich greków bardziej, aniżeli przyjacielem jednego z nich? albo raczej, nie jest-że ojczyzna czemś więcej, aniżeli jednostka? i czyliż zgodziłbyś się ratować człowieka, gdybyś dla jego zbawienia musiał zgubić Grecyę?

NEOPTOLEM.

Odysseju, masz słuszność, nie przeniósłbym tego.

ODYSSEJ.

I przyznasz, że, jeżeli przyjaźń jest rzeczą nieoszacowaną, ojczyzna jest czemś droższem jeszcze?.. Powiedz mi, Neoptolemie, na czem polega cnota?

NEOPTOLEM.

Poucz mnie, mądry synu Laerta

ODYSSEJ.

Ucisz swe namiętności; poddaj wszystko obowiązkowi...

NEOPTOLEM.

Lecz cóż jest obowiązkiem, Odysseju?

ODYSSEJ.

Głos bogów, porządek społeczny, poświęcenie siebie samego dla Grecyi... Podobnie jak widzimy kochanka,

szukającego dookoła po ziemi kwiatów najdroższych, aby je złożyć w darze ukochanej, i pragnącego umrzeć dla niej, jak gdyby, nieszczęsny, nie miał nic lepszego do oddania nad siebie samego, tak i ty — jeśli prawda, że drogą ci jest ojczyzna — cóż mógłbyś dać jej zbyt drogiego? Nie zgodził-żeś się sam przed chwilą, że zaraz po ojczyźnie idzie przyjaźń? Cóż miał droższego Agamemnon nad córkę własną, jeżeli nie ojczyznę? Zabij wszystko w ofierze, niby na ołtarzu... A cóż ma znów Filoktet, na tej wyspie, gdzie żyje samotnie, cóż ma droższego nad ten łuk, do złożenia w darze ojczyźnie?

NEOPTOLEM.

Ale w takim razie, zażądaj go odeń, Odysseju.

ODYSSEJ.

Mógłby odmówić. Nie znam jego usposobienia, ale wiem, że porzucenie na tej wyspie oburzyło go na wodzów wojska. Podrażnia on może bogów swą myślą, a przestaje snadź — o zgrozo! — życzyć nam zwycięztwa. I być może, iż znieważone bogi zachciały przez nas ukarać go jeszcze. Zmuszając go do cnoty przez niewłasnowolne pozbycie się swej broni, bogowie będą dlań mniej surowi.

NEOPTOLEM.

Ale, Odysseju, czyliż czyny, które spełniamy pomimo woli, mogą być liczone za zasługę?

ODYSSEJ.

Nie sądzisz-że, Neoptolemie, iż chodzi o to przedewszystkiem, aby wypełniły się bogów rozkazy? nawet gdyby się wypełnić miały bez zgody danego człowieka?

NEOPTOLEM.

Wszystko, co mówiłeś poprzednio, pochwalałem;

lecz teraz nie wiem już, co powiedzieć, i zdaje mi się nawet...

ODYSSEJ.

Cyt! Słuchaj... Nie słyszysz nic?

NEOPTOLEM.

Owszem: poszum fal morskich.

ODYSSEJ.

Nie. To on! Przerażające jego krzyki zaczynają dochodzić do nas.

NEOPTOLEM.

Przerażające!? Odysseju, ja słyszę, przeciwnie, śpiew melodyjny.

ODYSSEJ, nadstawiając ucha,

Prawda, on śpiewa! Doskonały jest! Teraz, gdy został sam, śpiewa! Gdy był pomiędzy nami, krzyczał.

NEOPTOLEM.

Co on śpiewa?

ODYSSEJ.

Niemożna jeszcze słów rozróżnić. Słuchaj: ale on się zbliża?

NEOPTOLEM.

Przestał śpiewać. Zatrzymuje się. Spostrzegł kroki nasze na śniegu.

ODYSSEJ, śmiejąc się.

I oto zaczyna krzyczeć znowu. Ach! Filoktecie!

NEOPTOLEM.

Rzeczywiście, krzyki jego są okropne.

ODYSSEJ.

Idź; zanieś prędko mój miecz na tę skałę; niechaj pozna broń grecką i wie, że kroki, które spostrzegł, są krokami człowieka z jego ojczyzny. — Śpiesz. Oto już się zbliża. — Dobrze. — Pójdź teraz; stańmy za tym kopcem śnieżnym; będziemy go widzieli, sami niewidzialni. Cóż za złorzeczenia pocznie miotać! „O ja nieszczęśliwy! — rzecze, — niechaj przepadną Grecy, którzy mię opuścili! Wodzowie wojska! ty, Odysseju przewrotny! wy, Agamemnonie, Menelaju! Bodaj choroba moja zżarła ich z kolei! O śmierci! śmierci, którą przyzywam codziennie, zostaniesz-że głuchą na skargi moje? nie przyjdziesz-że nigdy? O groty! skały! przylądki! nieme świadki moich boleści, nie zdołacie-ż nigdy...“

Filoktet wchodzi; spostrzega hełm i miecz, położone w pośrodku sceny.

SCENA II.

FILOKTET, ODYSSEJ, NEOPTOLEM.

FILOKTET.

Milczy.

AKT DRUGI.

SCENA I.

ODYSSEJ, FILOKTET, NEOPTOLEM.
Wszyscy trzej siedzą.

FILOKTET.

Niewątpliwie, Odysseju. Dopiero, odkąd jestem zdala od ludzi, zrozumiałem, co to jest cnota. Człowiek żyjący między innymi niezdolny jest, wierzaj mi, do jakiegobądź postępku czystego i pozbawionego istotnie widoków osobistych. Zatem, wy... przyszliście tutaj... po co?..

ODYSSEJ.

Ależ, by się z tobą zobaczyć, drogi Filoktecie.

FILOKTET.

Nie wierzę w to ani na chwilę, i mało mnie to zresztą obchodzi; przyjemność, jaką odczuwam, oglądając was po tak długim czasie, jest wielka i wystarcza mi najzupełniej. Straciłem zdolność doszukiwania się w czynach ich pobudek, odkąd postępki moje nie mają już przyczyn ukrytych. Dla kogóż miałbym udawać, czem jestem lub nie jestem? Troszczę się o to tylko, aby być. Przestałem jęczeć, wiedząc, że żadne ucho mnie nie usłyszy, przestałem życzyć sobie czegokolwiek, wiedząc, że nic tutaj nie mogę uzyskać.

ODYSSEJ.

Czemuż nie zaprzestałeś jęczeć dawniej, Filoktecie? Zachowalibyśmy cię między nami.

FILOKTET.

Nie godziło się, Odysseju. Wobec innych milczenie moje byłoby kłamstwem.

ODYSSEJ.

Podczas gdy tutaj?

FILOKTET.

Cierpienie moje nie potrzebuje słów, aby się poznać, ponieważ znane jest tylko mnie.

ODYSSEJ.

Zatem, od naszego odjazdu zmilkłeś, Filoktecie?

FILOKTET.

Bynajmniej. Ale skargi moje, odkąd nie posługuję się niemi do wyjawiania moich cierpień, stały się bardzo pięknemi, do tego stopnia, że mnie pocieszają.

ODYSSEJ.

Tem lepiej, mój biedny Filoktecie.

FILOKTET.

Nie żałuj mnie zwłaszcza! Przestałem, jak ci mówię, życzyć sobie czegokolwiek, wiedząc, że nic nie mogę uzyskać... Nic z zewnątrz, to prawda, ale bardzo wiele od siebie samego; od owej to chwili życzę sobie cnoty; zużywam na to całą swą duszę i, mimo boleści mej, odpoczywam w spokoju; — odpoczywałem w nim przynajmniej w chwili, gdyście... Uśmiechasz się?

ODYSSEJ.

Widzę, że znalazłeś sobie zajęcie.

FILOKTET.

Słuchasz mnie, lecz nie rozumiesz. — Nie cenisz-że cnoty?

ODYSSEJ.

Owszem: moją.

FILOKTET.

Jakaż jest ona?

ODYSSEJ.

Słuchałbyś mnie, lecz nie zrozumiał... Mówmy raczej o Grekach. Czyżby cnota samotna zatarła w tobie pamięć o nich?

FILOKTET.

Niewątpliwie, aby zatrzeć moje przeciwko nim oburzenie.

ODYSSEJ.

Słyszysz, Neoptolemie! — Zatem powodzenie wyprawy, dla którego...

FILOKTET.

...porzuciliście mię... cóż chcesz, abym o niem myślał, Odysseju? Jeżeli porzuciliście mię, to dla tego, aby zwyciężyć, nieprawdaż? Ufam zatem, dla was, że jesteście zwycięzcami...

ODYSSEJ.

A jeżeli nie?

FILOKTET.

Jeżeli nie, Hellada stanowczo wydawała nam się zbyt

wielką. Ja, na tej wyspie, zacząłem się stawać, pojmij-że, z dnia na dzień coraz mniej Grekiem, z dnia na dzień coraz bardziej człowiekiem... Jednak, gdy was oglądam, czuję... Achill nie żyje, Odysseju?

ODDYSEJ.

Achil nie żyje; towarzysz mój jest jego synem. Cóż to! szlochasz, Filoktecie?.. ów spokój tak poszukiwany...

FILOKTET.

Achill!.. Dziecię, pozwól mej dłoni popieścić białe twe czoło... Od tak dawna już, od tak dawna, dłoń ma dotyka ciał zimnych jedynie; nawet ciała ptaków, które zabijam i które spadają na fale lub na śnieg, są, gdy dłoń ma zbliży się do nich, zlodowaciałe, jak owe wyższe strefy powietrzne, w których przebywają...

ODYSSEJ.

Wyrażasz się dobrze, jak na człowieka, który cierpi.

FILOKTET.

Gdziekolwiekbym był i do końca życia będę synem Grecyi.

ODYSSEJ.

Ale nie masz do kogo mówić.

FILOKTET.

Powiedziałem ci już; czyż-eś mnie nie zrozumiał? Wyrażam się daleko lepiej, odkąd nie mówię już do ludzi. Po za polowaniem i snem, mam jedno zajęcie: myślenie. Myśli me, w samotności, kędy nic, nawet ból, ich nie rozstraja, nabrały bystrości i polotu, tak, że niekiedy sam z trudnością zdążam za niemi. Zrozumiałem więcej tajemnic dotyczących życia, niźli mi odsłonili wszyscy moi

przyjaciele. Zajmowałem się również opowiadaniem sobie samemu o swych boleściach i, o ile zwrot czy okres były bardzo piękne, o tyle wielką czułem ulgę; niekiedy, wymawiając je, zapominałem o swym smutku. Zrozumiałem, że słowa są daleko piękniejsze, od chwili, gdy nie służą do pytań lub próśb. Nie mając, dokoła siebie, uszu ani ust, posługiwałem się tylko pięknością swych słów; wykrzykiwałem je po całej wyspie, wzdłuż wybrzeży; i wyspa, słuchając mnie, wydawała się mniej samotną; przyroda wydawała się podobną do smutku mojego; miewałem wrażenie, że jestem jej głosem i że nieme skaliska oczekiwały na ten głos, aby wypowiedzieć w nim swe choroby; bo zrozumiałem, że wszystko dokoła mnie jest chore... i że to zimno nie jest normalne, bo pamiętam przecież Grecyę... I nauczyłem się zwolna głosić nędzę — raczej rzeczy okolnych, aniżeli własną; wydawało mi się to lepszem; zresztą, jakby ci to powiedzieć? była to ta sama nędza, i czułem ulgę tem większą. Potem, najpiękniejsze me stworzyłem okresy, mówiąc o morzu i nieskończonych jego falach. Mamże ci wyznać, Odysseju, — Odysseju! — niektóre były tak piękne, że szlochałem ze smutku, iż żaden człowiek słyszeć ich nie może. Zdało mi się, że duszaby mu [się na ich brzmienie przeistoczyła ode dna. Słuchaj, słuchaj, Odysseju! Nikt nie słyszał mnie jeszcze.

ODYSSEJ.

Nie mając nikogo dookoła, nauczyłeś się, jak widzę, mówić bez przerwy. Dalej-że, opowiadaj.

FILOKTET, deklamując.

„Uśmiechy nieskończone fal morskich bezbrzeża...“

ODDYSEJ, śmiejąc się.

Ale, Filoktecie, toż to z Ajschylosa.

FILOKTET.

Być może... Czy ci to zawadza?..

Rozpoczyna na nowo.

„Szlochania nieskończone fal morskich bezbrzeża...“

Milczenie.

ODYSSEJ.

A dalej...

FILOKTET.

Nie wiem już... pomieszało mi się.

ODYSSEJ.

Cóż robić! dokończysz innym razem.

NEOPTOLEM.

O, dokończ, proszę cię, Filoktecie!

ODYSSEJ.

Patrzaj! dziecię słuchało!..

FILOKTET.

Nie umiem już mówić.

ODDYSSEJ, powstając.

Opuszczę cię na chwilę, byś mógł odszukać myśl swoją. Do prędkiego zobaczenia, Filoktecie. — Ale, prawda? niemasz tak twardej niewoli, żeby się w niej nie znalazła chwila jakiegoś odpoczynku, jakiegoś zapomnienia, jakiejś przerwy kojącej?..

FILOKTET.

W istocie, Odysseju. Pewnego dnia spadł mi pod nogi ptak, do którego strzeliłem i którego strzała moja zraniła tylko. Przez chwilę cieszyłem się nadzieją, że go uleczę. Ale jak uchować to wzruszenie powietrzne, które,

nie mogąc wzbić się, polatywało tuż, tuż nad tą ziemią skalistą, kędy zimno nadaje wodzie nawet, zmroziwszy ją, formy moich myśli logicznych. Ptak skonał; widziałem, jak skonał w ciągu godziny; chcąc go rozgrzać jeszcze, dusiłem go pocałunkami i tchnieniami. Skonał z potrzeby latania...

Tak samo, zdaje mi się, drogi Odysseju, że potok poezyi, jak tylko opuści me usta, zamarza i kona z niemożności rozprzestrzeniania się dalszego, i że ożywiający go drobniuchny płomyk zanika coraz bardziej. Wkrótce, żyjąc wciąż jeszcze, stanę się czemś zupełnie oderwanem. Zimno opanowuje mnie, drogi Odysseju, i lęk mnie bierze już dzisiaj, bo zaczynam w niem, i nawet w straszliwej jego surowości, znajdować jakąś piękność.

Stąpam niewątpliwie po rzeczach i płynach stężałych, Nie marzę już nigdy; myślę. Zapomniałem smaku nadziei, i dla tego nie czuję już nigdy upojenia. Gdy położę tutaj, gdzie wszystko twardą jest skałą, cokolwiek... choćby nasionko nawet, odnajduję je po długim czasie w tym samym stanie; nie puściło kiełków nigdy. Tutaj nic nie staje się, Odysseju: wszystko jest, wszystko trwa. Ostatecznie, można tu zaciekać się w myślach! — Zachowałem martwego ptaka; oto on; powietrze zbyt zimne nie da mu nigdy zgnić. I postępki moje, Odysseju, i słowa moje, jak gdyby marznąc, trwają niezmiennie i otaczają mnie niby kołem skał coraz dostawianych. I, odnajdując je tak codzień koło siebie, każda namiętność zmilknąć musi. Czuję Prawdę coraz bardziej — i chciałbym, aby postępki me były podobnież coraz trwalsze i piękniejsze: prawdziwe, czyste, kryształowe, piękne, piękne, Odysseju, jak te kryształy szronu jasnego, w których, gdyby słońce się pokazało, słońce przeświecałoby całe. Nie chcę przeszkadzać żadnemu promieniowi Zeusa; niech każdy przechodzi przezemnie nawskroś, Odysseju, jak przez pryzmat, i niechaj

to światło przełamane uczyni każdy postępek mój godnym uwielbienia. Chciałbym dojść do największej przezroczystości, zniweczyć mą nieprzepuszczającą światła miąższość, chciałbym, abyś ty nawet, patrząc na postępowanie moje, czuł światłość...

ODYSSEJ, odchodząc.

No, no, bądź zdrów. Wskazując Neoptolema. Pogadaj z nim, skoro cię słucha

Wychodzi. Milczenie.

SCENA II.

FILOKTET, NEOPTOLEM.

NEOPTOLEM.

Filoktecie! naucz mnie cnoty...

AKT TRZECI.

SCENA I.

FILOKTET, wchodzi.

FILOKTET, poruszony do głębi niespodzianym podstępem i boleścią.

Ślepcze Filoktecie! poznaj swój błąd i płacz nad swem szaleństwem! Że też zjawienie się nanowo Greków mogło oczarować ci serce... Czy dobrze słyszałem? — Niema żadnej wątpliwości: Odyssej siedział, a koło niego Neoptolem; nie wiedząc, żem tak blizko nich, nie zniżyli nawet głosu; Odyssej dając rady Neoptolemowi, uczył go, jak mnie zdradzić; mówił mu... Nieszczęśliwy Filoktecie! zatem, aby wydrzeć ci łuk, powrócili tutaj! Jakże on musi być im potrzebny!.. Nieoceniony łuk, oh! jedyne mienie, które mi pozostało, i bez którego... Nadstawia ucha. Idą! Broń się, Filoktecie! masz dobry łuk, masz pewne ramię. Cnoto! cnoto! Kochałem cię tak bardzo, w samotności! Milczące serce moje uspokoiło się, zdala od nich. Ah! teraz wiem, co warta przyjaźń, którą mi ofiarowali! I toż jest Grecya, moja ojczyzna? Odyssej, którego nienawidzę, i ty, Neoptolemie... a jednak, jak on mnie słuchał! Cóż za słodkie dziecko! Dziecko... równie piękne, oh! piękniejsze, niż był twój ojciec... W jakiż sposób czoło tak czyste ukrywać może takie myśli? „Cnota,“ mówił, „Filoktecie, naucz mnie, co to cnota.“ Co mu odpowiedziałem? Nie pamiętam nic już prócz niego... I czy nie

wszystko jedno teraz, co mu rzec mogłem!.. Nadsłuchuje. Kroki!.. Kto to? Odyssej! Chwyta za łuk. Nie, to... Neoptolem. Neoptolem wchodzi.

SCENA II.

FILOKTET i NEOPTOLEM.

NEOPTOLEM, wołając.

...Filoktecie! Spostrzega go. Ah! Zbliża się, jak gdyby słabnąc ah! niedobrze mi...

FILOKTET.

Niedobrze?..

NEOPTOLEM.

Tyś to zawichrzył mi duszę. Oddaj mi spokój, Filoktecie. Wszystko, co-ś powiedział, zakiełkowało w mojem sercu. Podczas gdy mówiłeś, nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Słuchałem; serce moje otwierało się szczerze i niewinnie na twoje słowa. Umilkłeś; ja słuchałem jeszcze. Ale oto wszystko się zmąca, i pełen jestem oczekiwania. Mów! niedość słyszałem... Trzeba poświęcać się, mówiłeś..?

FILOKTET, zamknięty w sobie.

...poświęcać się.

NEOPTOLEM.

Ale Odyssej poucza mnie również. Poświęcać się dla kogo, Filoktecie? On powiada, że dla ojczyzny...

FILOKTET.

...dla ojczyzny.

NEOPTOLEM.

Ach! mów-że, Filoktecie; teraz musisz dokończyć.

FILOKTET, wymijająco.

Dziecko... czy umiesz strzelać z łuku?

NEOPTOLEM.

Umiem. Dla czego?

FILOKTET.

Czy mógłbyś napiąć ten oto?..

NEOPTOLEM, zmieszany.

Ty chcesz... Nie wiem. Próbuje. Tak; być może. — Oto widzisz!

FILOKTET, do siebie.

Co za łatwość! Zdawałoby się, że to...

NEOPTOLEM, z wahaniem.

A teraz...

FILOKTET.

Widziałem, co-m chciał widzieć. Bierze łuk z powrotem.

NEOPTOLEM.

Nie rozumiem.

FILOKTET.

Mniejsza o to, niestety!.. Zmieniając zdanie. Słuchaj, dziecię. Czy nie zdaje ci się, że bogi stoją nad Grecyą i większą mają wagę, niż ona?

NEOPTOLEM.

Nie, na Zeusa, tak nie sądzę.

FILOKTET.

I dla czegóż to, Neoptolemie?

NEOPTOLEM.

Albowiem bogowie, których czczę, służą tylko Grecyi.

FILOKTET.

Jakto służą? Są-ż jej poddani?

NEOPTOLEM.

Nie poddani... nie wiem, jak to rzec... Ale, widzisz, sam wiesz przecie, że nikt ich nie zna poza Grecyą; Grecya jest ich krajem, tyleż co naszym; służąc jej, czczę ich; niemasz różnicy między nimi i ojczyzną moją.

FILOKTET.

A jednak, widzisz, ja mogę ci coś o tem powiedzieć, ja, który nie należę już do Grecyi — a... czczę ich...

NEOPTOLEM.

Tak ci się zdaje? — Ah! biedny Filoktecie! człowiek nie odrywa się tak łatwo od Grecyi... i nawet...

FILOKTET, z uwagą.

I nawet?..

NEOPTOLEM.

Ah! gdybyś wiedział... Filoktecie...

FILOKTET.

Gdybym wiedział... co takiego?..

NEOPTOLEM, powracając do pierwszej myśli.

Nie, mów ty; przyszedłem, aby słuchać, a ty pytasz ciągle... Czuję dobrze, że cnota twoja i cnota Odysseja

nie są tem samem... Ale gdy trzeba mówić, ty, co mówiłeś tak dobrze, wahasz się... Poświęcać się dla kogo, Filoktecie?

FILOKTET.

Miałem ci powiedzieć: dla bogów... Ale właściwie jest zatem coś ponad bogami, Neoptolemie.

NEOPTOLEM.

Ponad bogami!

FILOKTET.

Tak, skoro ja postępuję inaczej, jak Odyssej.

NEOPTOLEM.

Poświęcać się dla kogo, Filoktecie? Ponad bogami cóż jest takiego?

FILOKTET.

Jest... Ujmuje głowę w obie ręce, jakby przygnębiony jakiemś brzemieniem. Nie wiem już. Nie wiem... ah! ah! nawet o sobie samym!.. Nie umiem już mówić, Neoptolemie...

NEOPTOLEM.

Poświęcać się dla kogo? Powiedz, Filoktecie...

FILOKTET.

...poświęcać się... poświęcać się...

NEOPTOLEM.

Ty płaczesz!

FILOKTET.

Dziecko! Ah! gdybym mógł wskazać ci cnotę...

Porywa się gwałtownie. Słyszę Odysseja! Bądź zdrów... Odsuwa się i mówi, odchodząc: Czy zobaczę cię jeszcze?

NEOPTOLEM.

Bądź zdrów. Wchodzi Odyssej.

SCENA III.

ODYSSEJ i NEOPTOLEM.

ODYSSEJ.

W czas przychodzę? Co powiedział? Czy dobrze mówiłeś, mój uczniu?

NEOPTOLEM.

Dzięki tobie, lepiej niż on. Ale mniejsza o to! — Odysseju... kazał mi napiąć swój łuk!..

ODYSSEJ.

Swój łuk! cóż za żarty! — I czemużeś go nie zatrzymał, synu Achilla?

NEOPTOLEM.

Cóż wart łuk bez strzał? Dawszy mi do rąk łuk, zatrzymał roztropnie strzały.

ODYSSEJ.

Zręczny przyjaciel!.. Czy domyśla się czego, jak ci się zdaje? Co mówił?

NEOPTOLEM.

Oh! nic, albo prawie nic.

ODYSSEJ.

A czy opowiadał ci znowu o swojej cnocie?

NEOPTOLEM.

On, który mówił tak dobrze przed chwilą, jak tylko zacząłem go pytać, zmilkł.

ODYSSEJ.

A widzisz!..

NEOPTOLEM.

A gdy spytałem, gwoli czemu można się poświęcać, co nie byłoby zawsze tylko Grecyą, rzekł mi...

ODYSSEJ.

Rzekł ci?..

NEOPTOLEM.

Że nie wie. A gdy rzekłem, jak mnie nauczyłeś, że sami bogowie są jej podlegli, odpowiedział: Właściwie jest zatem coś ponad bogami, jest...

ODYSSEJ.

Co?

NEOPTOLEM.

Powiedział mi, że nie wie.

ODYSSEJ.

Eh! widzisz więc, Neoptolemie!..

NEOPTOLEM.

Nie, Odysseju, zdaje mi się, że rozumiem go teraz.

ODYSSEJ.

Że rozumiesz co?

NEOPTOLEM.

Coś. Bo, ostatecznie, samotny na tej wyspie, póki nas tu nie było, dla kogo, czy dla czego poświęcał się Filoktet?

ODYSSEJ.

Ależ, powiedziałeś sam: dla niczego. Cóż przyjdzie z cnoty samotnej? Mimo wszystko, co jemu się roi, wietrzała ona bezużytecznie. Cóż przyjdzie ze wszystkich jego zwrotów i okresów, choćby najpiękniejszych... Przekonał-że cię? — Mnie także nie.

Jeżeli żył w ten sposób, samotny na tej wyspie, to tylko dla tego (dowiodłem ci przecież), aby uwolnić wojsko od swych jęków i swej smrodliwości; oto jego pierwsze poświęcenie, oto jego cnota, cokolwiekby mówił innego. Drugą jego cnotą będzie, że, straciwszy swój łuk, znajdzie pociechę w myśli, iż to dla dobra Grecyi. Jakież inne poświęcenie mógłby sobie wyobrażać, jeśli nie dla ojczyzny? Czekał, widzisz, abyśmy przyszli ofiarować mu je... Ale ponieważ mógłby odmówić, lepiej będzie zmusić jego cnotę, narzucić mu poświęcenie — i zdaje mi się, że przezorność nakazuje uśpić go. Widzisz tę łagiewkę...

NEOPTOLEM.

Ah! nie mów zbyt wiele, Odysseju... Filoktet milczał.

ODYSSEJ.

Bo nic już nie miał do powiedzenia.

NEOPTOLEM.

I zapewne dla tego płakał?

ODYSSEJ.

Płakał, że się łudził.

NEOPTOLEM.

Nie, on płakał z mego powodu.

ODYSSEJ, z uśmiechem.

Z twego powodu?.. Człowiek zaczyna coś przez głupotę, a potem z pychy nazywa to cnotą.

NEOPTOLEM, wybuchając łkaniem gwałtownem.

Odysseju! ty nie rozumiesz Filokteta...

AKT CZWARTY.

SCENA I.

FILOKTET, NEOPTOLEM.

Filoktet sam; siedzi; robi wrażenie człowieka przygnębionego boleścią—lub rozmyślającego.

NEOPTOLEM, wbiega gwałtownie.

Abym go tylko wczas jeszcze znalazł!.. Ah! to ty, Filoktecie. Czas nagli, posłuchaj mnie. To, co przyszliśmy tutaj zrobić, jest niegodne; ale bądź wyższym od nas: przebacz mi. Przyszliśmy... oh! wstyd mi to wyznać... skraść ci twój łuk, Filoktecie!

FILOKTET.

Wiedziałem o tem.

NEOPTOLEM.

Nie rozumiesz mnie... skraść ci twój łuk, powiadam... Ah! broń się!

FILOKTET.

Przeciwko komu? Przeciwko tobie? powiedz, mój Neoptolemie.

NEOPTOLEM.

Nie, rzecz prosta, nie przeciwko mnie: ja kocham cię i uprzedzam.

FILOKTET.

I zdradzasz Odysseja...

NEOPTOLEM.

I jestem w rozpaczy... Poświęcam się dla ciebie. Kochasz mnie? Mów, Filoktecie. I czy to jest cnota?

FILOKTET.

Dziecko!...

NEOPTOLEM.

Patrz, co ci przynoszę. Ta łagiewka miała cię uśpić. Ale ja ci ją oddaję. Oto masz. Czy to jest cnota? — Powiedz.

FILOKTET.

Dziecię! Krok za krokiem jedynie dojść można do cnoty najwyższej; to, co ty robisz, jest tylko podrzutem.

NEOPTOLEM.

Więc naucz mnie, Filoktecie.

FILOKTET.

Ta łagiewka miala mnie uśpić, powiadasz? Bierze ją i przygląda się. Drobna łagiewko... ty przynajmniej nie miniesz się z celem! Widzisz, co robię, Neoptolemie? Pije.

NEOPTOLEM.

Jakto! nieszczęśliwy, ależ to...

FILOKTET.

Poświęcam się. Uprzedź Odysseja. Powiedz mu... że może przyjść. Neoptolem, przerażony, wybiega z krzykiem.

SCENA II.

FILOKTET, później ODYSSEJ i NEOPTOLEM.

FILOKTET, sam.

I będziesz mnie uwielbiał, Odysseju; zmuszę cię do uwielbienia. Moja cnota wzbija się nad twoją, i musisz uczuć się zmalałym. Uwielbij siebie, cnoto Filokteta! uraduj się pięknością swoją! Neoptolemie, czemu nie zabrałeś zaraz mego łuku? Im bardziej mnie kochałeś, tem ci to było cięższem: nie poświęciłeś się dostatecznie. Bierz łuk i strzały... Ogląda się. Już go niema...

Ten napój miał smak okropny; mdło mi się robi, gdy o nim myślę; chciałbym zasnąć jak najprędzej... Ze wszystkich poświęceń najszaleńszem jest poświęcenie dla innych ludzi, bo wówczas człowiek staje się wyższym od nich. Poświęcam się, tak, ale nie dla Grecyi... Żałuję tylko jednego: że poświęcenie moje przyniesie korzyść Grecyi... Zresztą nie, nie żałuję tego nawet... Ale w takim razie, nie dziękuj mi: co-m uczynił, uczyniłem dla siebie, nie dla ciebie. — Odysseju, będziesz mnie uwielbiał, nieprawdaż? — Ale, czy będziesz mnie uwielbiał, Odysseju? — Odysseju! Odysseju! gdzież jesteś? Pojmij-że: poświęcam się, ale nie dla ojczyzny... dla czegoś innego, pojmij-że; dla... czego? Nie wiem. Czy zrozumiesz to? Odysseju! będziesz myślał może, iż poświęcam się dla Grecyi! Ah! ten łuk i te strzały mają służyć do tego!.. Gdzież je rzucić? — Morze! morze! Chce biedz, ale opada zmożony przez napój. Nie mam sił. Ah! w głowie mi się mąci... On zaraz nadejdzie...

Cnoto! cnoto! szukam w gorzkiem imieniu twojem nieco upojenia; czyżbym je wyczerpał już do dna? Pycha, która mnie podtrzymywała, chwieje się i ugina;

uchodzę i rozpływam się ze wszech stron. „Bez podrzutów; bez podrzutów," mówiłem mu. Co się przedsiębierze ponad własne siły, Neoptolemie, — oto jest cnota. Cnota... nie wierzę w nią już, Neoptolemie! Neoptolemie, niema cnoty. — Neoptolemie!.. Nie słyszy... Pada zmożony i zasypia.

ODYSSEJ, wchodzi z Neoptolemem i spostrzega Filokteta.

A teraz, zostaw mnie z nim samego.

Neoptolem, miotany najżywszem wzruszeniem, waha się z odejściem.

Ależ tak! idź gdziebądź; biegnij przygotować łódź, jeśli chcesz.

Neoptolem wychodzi.

ODYSSEJ, sam. Zbliża się do Filokteta i pochyla się nad nim.

Filoktecie!.. Nie słyszysz mnie już zatem, Filoktecie? — Nie usłyszysz mnie już? — Co robić? Chciałem ci powiedzieć... że zwyciężyłeś mnie, Filoktecie. I widzę teraz cnotę; i czuję taką jej piękność, że w obecności twojej nie śmiem już działać. Obowiązek mój wydaje mi się okrutniejszym od twego, bo nie widzę w nim takiego, jak w twoim, dostojeństwa. Twój łuk... nie mogę już, nie chcę już go brać: ty sam go dałeś. — Neoptolem jest dzieckiem: musi być posłusznym. Ah! oto on! Rozkazująco. A teraz, Neoptolemie, bierz łuk i strzały i nieś je do łodzi.

Neoptolem, strapiony, zbliża się do Filokteta, skłania głowę, potem rzuca się na kolana i całuje Filokteta w czoło.

ODYSSEJ.

Rozkazuję. Niedość-że ci, że mnie zdradziłeś? Chceszże zdradzić także ojczyznę? Patrz, jak on się dla niej poświęcił.

Neoptolem bierze z poddaniem łuk i strzały i oddala się.

ODYSSEJ, sam.

A teraz, żegnaj, twardy Filoktecie. Czy bardzo mną gardziłeś? Ah! chciałbym wiedzieć... Chciałbym, aby on wiedział, że znajduję go uwielbienia godnym... i że... dzięki jemu, zwyciężymy.

NEOPTOLEM, woła zdaleka.

Odysseju!!

ODYSSEJ.

Oto jestem.

Wychodzi.

AKT PIĄTY.

Filoktet, sam, siedzi na skale. Słońce powstaje na niebie zupełnie błękitnem. W oddali na morzu pierzcha łódź. Filoktet spogląda za nią długo.

FILOKTET, szepcze bardzo spokojnie.

Nie powrócą już; niema już łuku do wzięcia... — Jestem szczęśliwy.

Głos jego nabrał niesłychanej piękności i słodyczy; kwiaty dokoła niego wystrzelają z pod śniegu, ptaki niebieskie zlatują się, niosąc mu pokarm.



PRZEŁOŻYŁ
Zenon Przesmycki
(Miriam).

Andrzej Gide.

CHWILE.

Bywają chwile dziwnego olśnienia,
Kiedy z powszedniej rzeczy i zjawiska
Nagle nieznana, piękna twarz wybłyska
I w nieśmiertelną treść się wypromienia.

Bywają ludzkie słowa bez znaczenia,
Z których melodya nagle cudna tryska,
Płynąca ztamtąd, gdzie rzeczy kołyska...
Bywają chwile dziwnego olśnienia.

Bywają chwile palące, jak płomień,
Bywają chwile mocne wiekuiście,
Bywają chwile, które stać się muszą.

Bywają chwile wielkich uświadomień,
Kiedy się wierzy w jasnych cudów przyjście
I na spotkanie im wybiega — duszą.

SKARBY.

Jest skąpiec, który mienie swoje chowa
I bóstwu swemu składa na objaty.
To dusza. Skarb ma dziwny i bogaty:
Niewymówione nigdy, święte słowa.

I jest skarbnica złotopupurowa,
Jedwabiem kryta, wśród ciemnej komnaty.
Jak muszle, szumią tam, pachną, jak kwiaty,
Niewymówione nigdy, święte słowa...

A gdy nadchodzi Święto duszy: oto
Perły, rubiny płoną, jak pożoga —
I te, co były, jak myśl piorunowa,

I te, co były pełne snu i Boga,
I te, co były męką i tęsknotą —
Skarby nadludzkie — zamilczane słowa!

Władysław Sterling.

Prorok.

Nad nimi słońce gorejące...

Z okiem w ziemię wbitem słuchają...

Słowa starca płyną cicho, jednostajnie, spadają z głuchym, dalekim łomotem na zmęczone ich mózgi — tłoczą, przybijają je do ziemi...

Jak zmory sennej nękające mary, przewiewają przed nimi straszne przebytych czasów dzieje...

Jak złowrogiej pieśni pogrobowej uporna, ponura zwrotka, wraca wciąż, ponownie i ponownie, bezlitosny wyrzut:

Sami winni, sami winni, sami winni!..

Sto razy ich podniósł — sto razy od niego odpadli, sto razy ku zbawieniu ich powiódł — sto razy się odwrócili, sto razy ich ocalił — sto razy haniebnie go zdradzili...

— Sami winni... sami winni... sami winni!..

Słońce gorejące pali im rozbolałe głowy, słońce gorejące zawistnym żarem wpija, wżera im się w pękające

czaszki — ciche, jednostajne, ponure słowa starca spadają z dalekim, głuchym łomotem na znękane ich mózgi — tłoczą, gnębią, przybijają do ziemi...

— Nieszczęśni, potrzykroć nieszczęśni! — po tylu próbach i ponownych zawrotach, po tylu zbawieniach i ponownych zdradach — czego chcą od niego, czego chcą... czego chcą?..

Stoją w posępnem milczeniu. Czasem niewiasta która zdławionem zaniesie się łkaniem, czasem westchnienie stłumione w ciszy się rozpłynie, czasem dziecię które u matczynego łona zgubionym jękiem zakwili...

— Czy nie da się przebłagać, czy po raz ostatni nie ulituje się ich potrzeby? — — —

Wielka, pusta kotlina w rozszalałych słońca żarach omdlała gore...

Z poza czarnych zwałów kamiennych, z poza zeschłych traw i ostów żółtej powodzi, dzikiego anyżu kęp najeżonych, płonie krwawą łuną spękana, rozrysowana, rozszczepiona w głębokie jary ruda ziemia...

— Czy nie da się przebłagać? Czy po raz ostatni nie ulituje się ich potrzeby?..

Niech się zmiłuje nad nimi, bo zginą...

Niech się zmiłuje nad nimi, bo zginą, zczezną, przepadną!..

Gorejące słońce pali im rozbolałe skronie, gorejące słońce rozsadza im rozwięzione czaszki, gorące rozszalałe tchy anyżu kłębią się, wirują w ich znękanych mózgach — pustej, rozgorzałej kotliny krwawy pożar wielkiem, szerokiem kołem wkrąg poczyna się toczyć — — — — — —
— — — — — — — — — — — — — — — — — —

Ze ściśnionego zastępu jeden z mężów leniwie się wysuwa...

Z przymrużonych jego oczu błyskają raz po raz ukośne, chytre spojrzenia. Po wykrzywionych ustach jadowity błąka się uśmiech...

Milczenie — — —

W gorejącego słońca rozwścieczonych żarach, w dzikiego anyżu rozpasanych oddechach, pustej kotliny wielki, krwawy pożar szalonym pędem wiruje...

— Wielki, wszechmocny Boże! co będzie... co będzie... co będzie?..

Mąż o ukośnem spojrzeniu, o jadowitym uśmiechu, chyli się ku ziemi...

Jak kot kuli się, zczaja — przymknięte oczy rozwierają się szeroko, błyskają białkami, zieją straszną chucią...

Dygocącą ręką, rozwartemi jak szpony, kurczowo skrzywionemi, trzęsącemi się palcami dobywa, dźwiga ciężki krągły głaz...

— Wielki, wszechmocny Boże! — co będzie?.. co będzie?.. co będzie?..

Mąż rzucił się w górę — błysnął rąk rozmach — runął starzec rażony kamieniem...

Milczenie. . stoją w głuchem milczeniu...

Tylko dreszcz raz nimi wstrząśnie...

Jeden... drugi...

I coraz nowe...

I coraz częstsze...

I nagle: huragan, wielka, wyjąca burza zapamiętałej, ryczącej wściekłości, spienionego obłędu...

Zatłoczyli się, skłębili, sparli — zwarły się dyszące oddechy, zatętnił huczący szał w rozmiotanych skroniach —

w kurczowych podrygach rzucają się, spychają, zwalają, duszą, rwą, szarpią, rzężą — krwawemi palcami rozdrapują twardą ziemię — dobywają, dźwigają, miotają na oślep krągłe, czarne, ciężkie głazy...

Nad martwem ciałem zwiera się — wypiętrza wyżej, wyżej, wyżej, kamienna mogiła —

Cisza .. pustka...

Skróś zwału kamieni, złomów zwietrzałych kolumn, kapiteli, łuków — z wielkiej, pustej kotliny krwawego pożaru czarno wypiętrzony kamienny kurhan...

Wpoprzek w cienką stali lamę wyciągnięty jeziora blask skrawy...

Wyżej gór białe żary...

Czasem z pod czarnego kamienia jaszczurka szara wypełznie, jak błyskawica po zwałach się przewinie i w ziemię zapadnie...

Czasem zkądś szakal z wtuloną kitą przybiegnie, mogiłę dokołoła obejdzie, jak dziecko żałośnie, przeciągle raz i drugi zapłacze i znowu pomknie...

Czasem gazela rozpędzona jak wryta przystanie, zdumiona brązowe oczy szeroko rozewrze i znowu poprzez spękanej ziemi ziejące szczeliny w wielkich skokach popędzi...

Czasem skrajem kotliny jeździec jakiś chyłkiem jak mara się przesunie, rozwianą szatą biało w słońcu zabłyśnie i w widnokręgu się zgubi...

I tylko kraczącego ptactwa chmury kupią się i rozpływają...

I tylko wysoko, w blaskach zgubiony, orzeł samotnie się waży...

Nad wysoko wypiętrzonym kamiennym kurhanem, nad rozgorzałej, pustej kotliny wielkim, krwawym pożarem gorejące słońce...

Zygmunt Bytkowski.

Z „Sonetów Królewskich.“

WANDA.

Rzucam tobie, Wisło, mój wianuszek z ruty:
Nie popłynie z wodą, jeno w głębi lęże...
W mym wianuszku z ruty zagnieżdżą się węże,
Jako we mnie, winnéj, miłowaniem strutej.

Rzucam tobie, Wisło, miecz o krzemień kuty,
Bo niemieckich wojów już on nie dosięże,
I mój pancerz złoty, i hełm, i pawężę,
Co mię strzedz nie znały od miłości lutej.

Chwyć mnie ninie, nurcie, Moraną zasnuty...
Rytygiera-m zmogła... siebie nie zwyciężę!
Mnie się nie imały niemieckie oręże,

Choć ciebie krwi naszych zbroczył dopływ suty —
Niech mię lud mój, Wisło, zna z fal twoich nuty...
Niech koję niewiasty i ukrzepiam męże!

LUDGARDA.

Do nóg Przemysława rozpacznie się winie:
„O mój królu panie... Niegdyś tobie droga,
Błagam zmiłowania... przez żywego Boga,
Nie bierz mi żywota... daj mi odejść ninie...

Do rodzica odpuść... boso w koszulinie...
U nóg jego życia dokonam nieboga,
I będzie mi, panie, twoja pamięć błoga —
Nie rzucę ci klątwy... choć pojmiesz niemkinię.

Do rodzica odpuść... w kraj, gdzie Łaba płynie...
Milczysz?.. Jakaż straszna mnie ogarnia trwoga!
Przebóg! Już oprawca stoi w drzwiach u proga. —

Pomnij! Jak Ludgarda bez winy tu ginie,
Tak miecz braniborski ciebie nie ominie...
Pomnij!
O mój ojcze! Doloż moja sroga!

JAN OLBRACHT.

Hej! w gospodzie na Kleparzu dworak wodzi Basię...
Wierę... nie znam, jak Bóg miły, gładszej nad cię
Urzekły mnie modre oczy twe i krucze brewki, [dziewki.
Żem na umór rozmiłowan w cudnej twojej krasie.

Nie w zgrzebnem ci płótnie chodzić, jeno w altembasie...
Panią być... a nie szynkować miody i nalewki...
I raz po raz garść czerwieńców wyrzuca z sakiewki,
I raz po raz mocniej Baśkę obejmuje w pasie.

A tu wpada do gospody cała tłuszcza... zda się,
Najazd żaków i żołdaków... i grzmią huczne śpiewki...
Hej, paniczu! Tam do dworek sobie smal cholewki...

A od naszych wiejskich dziewek wara tobie... zasię!
Błysły kordy, krwią spłynęły... wstał krzyk poniewczasie:
„Dyć to król nasz miłościwy... jasny pan i krewki!“

ZYGMUNT AUGUST.

Szept złotowłosej słychać Isaotty...
Do ust przypadła mu w cieniu kotary:
„Ja, królewiczu, kocham cię bez miary,
A ty — ty moje odtrącasz pieszczoty...

Wszystkich ku tobie drżą pożądań loty!
Wszystkich ku tobie płoną tęsknot żary!
Słuchaj! Okrutnej wzywam niebios kary
Na tę, co ócz twych zabierze mi groty!

Bodaj miłości twojej promień złoty
Złudne jej tylko przywiódł szczęścia mary
I rychło w straszne zmienił je maszkary —

Bodaj by zczezła z bólu i zgryzoty!“
. . . .
A królewicza — rąk liliowe sploty
Palą... rwie duszę cichy płacz Barbary...

Władysław Nawrocki.

Wyznania.

Z czegóż mamy w tych czasach dzisiejszych czerpać podnietę do tworzenia artystycznego? — W czasach starożytnych dawało ją *życie;* bieg dzisiejszego życia tłumi raczej wszelką produkcyę duchową. „Żyjemy“ dziś tak mało! Jakże my *mieszkamy,* naprzykład? Te ubikacye nasze wystarczają zaledwie do „egzystencyi.“ Spędzamy dni, stłoczeni po cudzych kamienicach, zkąd wygnano naturę, światło, powietrze. — W jakież *stroje* ubierają nas przesądy, nasz smak obcy wszelkiej sztuce i pruderya nasza? I tu niema nic dla oka, nic dla zmysłów! *Kształty ludzkie,* zwłaszcza kształty kobiece, oglądamy chyba w razie wypadku lub katastrofy. (Mimo że kobiety, w tem obowiązkowem, a skrzętnem ukrywaniu tajemnic, same schną i przekwitają w tęsknocie). — *Rodzina?* — my jej nie mamy, ona nas ma. *Żona?* — bądźmy szczerzy! żadna z nich nie przejmuje się przecież poważnemi, prawdziwemi zadaniami życia. — *Dzieci?* — z początku może wiele radości, potem walka i troski.

Z czegoż więc czerpać dziś twórczość artystyczną? Pozostaje, dalibóg, tylko wino. Ono jedynie jest prawdzi-

wem użyciem, ono czyni z nas dopiero ludzi. Tylko wino pozwala nam tworzyć wbrew życiu samemu, ono jedynie darzy nas niekiedy godzinami, w których się zapomina o tym całym kieracie i w których zda się człowiekowi, że Bóg jeden wie, kim jest i gdzie się znajduje.

Kto nie uczy się ze wszystkiego (mówi Böcklin o książkach i obrazach), ten się nigdy niczego nie nauczy.

Niepodobna nauczyć się czegoś bezpośrednio od innych. Trzeba wszystkiego samemu doświadczyć. Starzy zwłaszcza mistrze niewiele nauczyć mogą. Toć ich obrazy tak się zmieniły, że trudno dziś wiedzieć, czego oni sami niegdyś chcieli.

Nie powinnoby się nadawać żadnych tytułów obrazom. Istotę rzeczy, o którą chodzi malarzowi, zatrącają one zaledwie, i skutkiem tego przysłaniają lub nawet z fałszywej przedstawiają strony sam zaród dzieła. Widz, dzięki im, zajmuje się materyałem, który można spotkać na każdej ulicy — i za którym chętnie kryje się niezdolność — zamiast autorem, który ma coś do powiedzenia. Na co on patrzał, co on odczuł, — tego nie widzi nikt, o to nikt nie pyta.

Kształty i barwy muszą być podporządkowane idei.

Jeżeli w ciągu roboty nagle się gdzieś *urwie*, to urwało się nie tu, nie w robocie, lecz z samego zaraz po-

czątku, w idei. Na nic wtedy wszelkie poprawki i przeróbki — wszystko to jest daremnem zapychaniem dziur, wszystko to nic nie pomoże. Coś urwało się *w samym początku,* przed zaczęciem pracy, przy obmyślaniu i obliczaniu. Przeoczyliśmy wtedy właśnie ten wadliwy punkt, w którym — jak teraz nam się zdaje — *środki* nas zawodzą.

Uważaj, co na tobie wywiera wrażenie; gdy pojmiesz *dla czego,* potrafisz sam oddziaływać.

Nie jesteś przy malowaniu tak niezależnym, jak ci się wydaje. Zależysz od tego, co jest dla pracy twej korzystnem.

Im prostsze środki, im szybciej wypowiedzieć można to, co się ma własnego do wypowiedzenia, tem mniej zatraca się siły na pokonywanie oporności materyału.

Prócz szczęśliwej zgody wyobrażeń i środków, polega sztuka na poznawaniu i usuwaniu zbyteczności. To pochłania najwięcej czasu. Tem bardziej nie należy chcieć coś włączać. To precz, tamto precz, — wtedy dopiero błyska nagle światło, przyznające słuszność naszym wyobrażeniom, oraz wskazujące jak je wykonać należy: — o to, to! tegośmy szukali w rzeczywistości. Wszystko inne robi się potem już samo przez się i szybko: wówczas budzi się i przychodzi nam z niewołaną pomocą wszystko to, czem się jest, co się wie, umie, w pamięci ma, — nieraz niewiadomo, zkąd się to wszystko bierze. Tylko niech Bóg broni być pełnym fantazyi, — wyobraźni będziemy potrzebowali jeszcze dosyć *ad hoc,* aby ożywić rzeczy najistotniejsze. I ni-

gdy zbyt wybujało, lecz z rzetelną prostotą, nigdy artystycznie, lecz naturalnie!

Kierunki! Jest tylko jedna sztuka, lecz zarazem tyle indywidualności, ilu prawdziwych artystów, lub tych, którzy nimi rzetelnie zostać pragną. Aferzyści i ludzie, którzy zatrzymują się przed dowolnym ułamkiem natury, aby go naśladować, dając w najlepszym razie tylko wykrawek całości, naśladując kształt zewnętrzny, — ci, artystami, oczywiście, nie są.

Malarz widzi i żyje oczyma. Tętni w nim coś nieuchwytnego, co łączy się z kształtami i barwą, ożywia rzeczy widziane i staje się wskutek tego czemś określonem.

Wolę chcę widzieć w każdem pociągnięciu pędzlem, nie zaś niewolnika!

Co nie jest zdecydowane, nie działa. Widz powinien się dowiedzieć z mego obrazu, jak przemawiało do mnie życie, natura i t. d.; dla tego, ja sam muszę to wiedzieć jasno i módz jasno wyrazić.

Kogoś, kto, zamiast szukać ogólnego wrażenia, zatapia się w szczegółach, mam za *durnia*. Nie malujemy przecież rąk i nóg dla kogobądź.

Gdy się ma parę barw i parę kontrastów, można już w zamierzony sposób oddziałać na duszę ludzką.

G. Floerke: Co to jest obraz? Możliwie ścisły i wyrazisty, pełny jedności wnętrznej wyraz czysto malarskiej, t. j., zamykającej się w granicach środków malarskich, wizyi, ze wszystkiemi wiążącemi się z nią asocyacyami myślowemi.

„No, tak,“ rzekł Böcklin, a potem musi on jeszcze wywierać wrażenie ściśle dekoracyjne. Musi nietylko wyrażać to, co malarz odczuł, lecz być nadto czemś wspaniałem, czemś najpiękniejszem, dominującem w miejscu, do którego jest przeznaczony.“

Nie widzę przyczyny, dla której miałbym malować piękne kobiety. Nie maluję przecie z grzeczności, ani też na to, aby się przypodobać jurnym gamoniom.

Gdy maluję wodę, nawiedza mnie wówczas to i owo: igraszki, o których nie wiem, kiedy i jak je widziałem, a które pozostały mi jednak.

Czego się nie szuka, tego się nie widzi.

Na miłość Boską, nie powinno się nigdy okazywać w nieodpowiedniem miejscu, że się było pilnym uczniem, że się zdobyło umiejętność, że się dobrze rysuje i t. p. Na takie chłopięce samochwalstwa nie masz miejsca w pełnem jedności wnętrznej pragnieniu artystycznem. Wszystko, gdzie trzeba.

W naturze, pomiędzy światłem i ciemnością istnieje

dla oka ludzkiego skala, którą można wyrazić stosunkiem: 1 — 100. Na palecie zaś, skala ta da się wyrazić: 45 — 55. — 50 zatem będzie moim *środkiem*, jeżeli chcę wystarczyć równie w świetle jak w cieniu. Już dla tego samego, niepodobna malować bezpośrednio z natury, bo zazwyczaj mimo wszelkich przystosowań, obiera się, w skutek wysiłków naśladowczych, za wysoką skalę w stosunku do środków rozporządzalnych i popada w niemożność wystarczenia efektom natury. — Nie, wszystkie stosunki skali muszą być przemyślane pierwej w głowie i następnie z pamięci oddane na płótnie Podług natury należy tylko sprawdzać, ale nigdy z paletą nie ślęczyć przed naturą.

Malowanie studyów powinno być wzbronione. W pracowni, studya do niczego nie są przydatne. Nawet ze stanowiska mnemotechnicznego, studya są głupstwem. Taki, co wciąż tylko chwilowe maluje z natury wrażenia, niczego się nie uczy i przy pierwszym odmiennym wypadku znowu staje bezradnie. — Weźmy prosty przykład. Rysuję z natury niezapominajkę. Przez to jednak nie dochodzę do jej zrozumienia, nie mogę jej sobie wyobrazić, kiedy i jak zechcę. Nie wiem, jak się to rozwija, jak cząstka jedna z drugą się łączy, jak barwy niebieska z żółtą do siebie przystają. Mogę tylko skopiować znowu to, co widzę. Ale spróbujmy przyjrzeć się niezapominajce i narysować ją z pamięci, czyli zdać sobie z niej sprawę, a potem dopiero porównajmy to, cośmy zrobili, z naturą, sprawdźmy i umocnijmy swe wyobrażenia. Wyobraźnia jest niezbędną; naśladownictwo — zabójczem.

To mi artysta, to mi twórca, który, potrzebując np. małego palca, czeka, aż model czas mieć będzie.

Niech rzecz będzie jak chce niezręczną, lub źle narysowaną, — nie dbam o to: chcę w każdem pociągnięciu widzieć wolę, — to jest dla mnie wszystkiem, poprawność niczem.

Istotnie monumentalne malowidło powinno być wielką improwizacyą.

Ogromnie wiele rzemiosła jest w sztuce; wiele doświadczenia, wiele prób wszelakich potrzeba, wiele mechanicznej pracy. My wszyscy jesteśmy przecież awanturnikami bez kotwicy, bez steru, bez kompasu; — każdy w swojej łupinie orzechowej. Żaden z nas nie ma oparcia na rzeczach przeszłych. Każdy nic nie wie, w nic nie wierzy; — patrzy, próbuje.

Do śmierci się uczymy. Po latach dwudziestu, znajduję rozwiązanie czegoś. Gdyby ktoś był mi to wcześniej powiedział, gdybym to był wiedział wówczas, — iluż głupstw byłbym uniknął, o ileż dalej byłbym już teraz.

Właściwość, „indywidualność“ materyału pragną się również wypowiedzieć w dziele.

Głowa — to „fraszki!“ Ale wydobyć naprzykład to, że tak niedbale oto spoczywa: — w tem sęk! Nogi są najtrudniejsze, nie dlatego, że na nich wokół wszystko chodzi — (ruch ramion nie jest wcale rzeczą łatwiejszą), — lecz że się stoi na nogach, że dźwigają one postać i jej

ruch. Niech tu brakuje najmniejszego drobiazgu, cały chłop jest wnet w nieporządku.

Et, co tam, piękne! Rzecz każda na właściwem miejscu jest piękną. Kolorystyczność! Brednie. Farba jest wtedy piękną, gdy cel swój osiąga.

Ci florentczycy! Gdy się powraca z Holandyi, — noc nas ogarnia. Toż to są dzieci! Obserwacyi, spotrzegawczości, tego u nich nie znaleźć. Po 50 latach nie zauważył jeszcze Ghirlandajo, że niektóre barwy zawsze się wybijają (to jest ich charakterem, który malarz uchwycić powinien), nie wie, że, naprzykład, niektóre czerwienie (w naturze oczywiście) w rozmaitych odległościach rozmaicie działają. On ładuje to samo na przedzie, co i na tylnym planie. Ztąd brak przestrzeni, a więc brak spokoju. A poza tem: nawet obliczenia artystycznego, rachunku nieco większego nie byli w stanie ci ludzie zrobić. Nigdy nie wpadnie im nic do głowy, co się do rzeczy odnosić może. Gdzie został pusty kawał przestrzeni, tam maluje się czemprędzej chwaścik, lub ogonek sukni, albo doniczkę z kwiatami. Jeden efekt, np. dywanu, muru, skoro raz został odkryty, powtarza się nielitościwie w kółko: chodziła czapla po czerwonej desce... Nigdy nie mają oni nic do opowiedzenia, nic do udzielenia: holendrzy pełni są tego aż po końce palców. Dziećmi są ci florentczycy! Biedne i puste stworzenia ci Botticellowie i t. d. Gdy tymczasem taki uczeń van Eycka jest pełen uczucia aż do najmniejszego drobiazgu, a mimo to każdy ten drobiazg został wysnuty z wielkiej całości, z ożywiającej wszystko, głęboko umiłowanej i nawskroś odczutej idei.

Nie! — taki np. Rogier van der Weyden! Aż do osta-

tniego wątku, do najmniejszej małostki, takie to wszystko ożywione, tak przedziwnie zrozumiane, takie artystyczne, tak nigdzie nie „puszczane.“ Czem i jak to jest zrobione, pozostanie dla mnie wieczną zagadką. To wogóle nie wydaje się malowanem. Nie widać w tem pracy, nie czuć borykania się z opornym materyałem. Olejem, werniksem, tem wszystkiem, czem my dziś rozporządzamy, malowane to nie jest.

Kto robi ciągle to samo, jest prostym świńtuchem. Człowiekowi, póki się zwie artystą, nie wolno mieć żadnej maniery. Każdy dzień nas odmienia. Co podobało się i wydawało dobrem 20-letniemu młodzieńcowi, nie może już poruszać dojrzałego mężczyzny. Co raz zostało osiągnięte, to już minęło. Każdy obraz, w tem znaczeniu, winien mówić coś innego, nawet gdyby był jakiemś powtórzeniem.

Artysta nie powinien mieć ani specyalności, ani maniery. Karyerowicz i zręczny rzemieślnik musi ją posiadać: wszak po niej poznać go jedynie, ona wyszukuje mu swoistych wielbicieli, „jego“ miłośników sztuki. Mówię to w umyślnem zastosowaniu do spółczesnej sztuki francuzkiej. Niemiec, który tak wiele umie, tak dalece już się przegryzł, zrobi potem coś odmiennego; — rzecz będzie może nie lepsza, on wszakże *pragnie* czegoś więcej. Taki paryżanin — nie! On stanie na miejscu i zrobi z siebie, wytwornego chicqueur'a. A to jest chamstwem! Gdyż ten, co tyle już umie, wie także, iż jest zawsze jeszcze coś wyższego, coś artystyczniejszego. Czy takie dążności dadzą „*hôtel*“ lub sławę dnia u „*Nation,*“ — to oczywiście będzie rzeczą mniej pewną.

Musiałbym być malarzem rodzajowym, gdybym nie wiedział, że chodzi o *to* i o *to,* i że tylko nierozum artystyczny może żądać jeszcze czegoś innego. Taki fryc rodzajowy, w którego, dajmy na to, bardzo porządnej scenie chodzi jednak jedynie o dwie np. miłe twarze Jej i Jego i co najwyżej o taki jeszcze lub inny ruch pomocniczy, — robi nadto psa, i kota, i piec (nawet z kalendarzem z danego roku), i wszystkie gwoździki fotelu, i jest — bardzo dumny z tego... mianowicie, że zdołał oderwać spojrzenie od głównej rzeczy i rozproszyć po różnych szczegółach.

Oponent: Można wszakże zrobić i to i tamto...

Böcklin: Nie, niemożna robić naraz jednego i drugiego, jeśli się chce być malarzem. Niemożna, jeżeli chodzi wyłącznie o dwie głowy, wykonywać nadto w sposób zajmujący butów i guzików. Bo, przedewszystkiem, wtedy właśnie nie osiąga się zamierzonej rzeczy głównej, a powtóre, mnóstwo równoważnych, skupionych koło siebie szczegółów nudzi poprostu.

Technika! Techniczną sprawność może mieć byle głupiec, każdy może się nauczyć.

Kto do sztuki wprowadza tendencyę, ten nie jest artystą.

Ach, te wystawy! Łatwo byłoby na nie malować. Ale zabijają one, tak, jak „salony" zabiły Francuzów. Każdy zadaje sobie jedno tylko pytanie: co „robi efekt," i na tem opiera całe swoje obliczenie. Zwłaszcza, co robi efekt zdaleka: — taki lub inny niezwykły figiel perspektywiczny,

jakiś widok z góry, lub z dołu, jakiś brak horyzontu w obrazie, jakaś zygzakowata perspektywa i t. p. Wtedy celem artystycznym staje się poszukiwanie rzeczy silniej, brutalniej działających. I widzimy wszyscy, jakie powstają ztąd „kicze.“

W Niemczech niema słońca. Leży mi ono na plecach, ale go nie czuję. Cienie przymglone, chociaż niebo błękitne. Dopiero po drugiej stronie Alp, wszystko przesycone, przepalone światłością. Dzień cały karmiłem się światłem.

PRZEŁOŻYŁ
Maryan Wawrzeniecki. Arnold Böcklin.

Sonety.

FECONDITAS.

Chwila zachodu... wśród obłoków wieńca
Dogasa słońce... chmura zwiewna, biała,
W przestrzeniach nieba jak szept skamieniała,
Czeka na przyjście swego oblubieńca.

Słońce jak gloria na świętym obrazie
Zniża się, pasy rozrzuca pąsowe,
Na pierś jej śnieżną skłania złotą głowę,
Stapia się w krwawej miłości ekstazie,

Błogosławiona niech będzie moc twórcza!!
Pękają drzewa, wiatr do nieba spiętrza
Pył płodny kwiatów — łany zbóż się złocą —

Ziemia swe łono brzemienne rozkurcza
Tysiące istnień wyrzucając z wnętrza
Tknięta tworzenia przenajświętszą mocą!!

WIERZBY W POLU.

Białe bezkreśne pole — pusto, szaro, mętno...
Słońce, od białych śniegów za mgłami oślepłe,
Patrzy chorą źrenicą na ugory skrzepłe,
Gdzie pod śmierci całunem kona ziemi tętno.

Tylko wierzby na polu jak szkielety sterczą,
W jakiejś strasznej, rozpacznej pokurczone męce,
Z pod śniegu zamarznięte wyciągają ręce
Z groźbą dla szarych niebios bezsilną, bluźnierczą.

Głuchy, samotny cmentarz wśród śniegowych łanów.
Jakiś orkan olbrzymi, spadły z sinej chmury,
Górą śniegu przywalił do ziemi tytanów.

Jeszcze widać po wydmach cielsk groźne kontury
I jeszcze sterczą w niebo po minionej walce
Długie, agonią śmierci poplątane palce!!

KIEDY ROSY SPADNĄ...

Krąg wody, jakąś niewidzialną ręką
Między traw sploty rzucony na łące,
Całując falą kwiatów stopy drżące,
Utworzył w ziemi zatokę maleńką.

Codzień, gdy róże zapalą się świtu,
Przez traw gęstwinę, wonne kwiatów sady
Cisną się rojne owadów gromady
Do zgubionego wśród trawy błękitu.

I zaglądają do nieba ciekawie,
Które na fali pocałunki kładnie
Z ogromnem słońcem zatopionem na dnie.

A kiedy rosy rozperlą się w trawie,
Z kwiatów chylących kielichy nad tonią
Spadają krople i dzwonią...
i dzwonią...

I PRZYSZŁA SZARA WIECZORNA GODZINA...

I przyszła szara wieczorna godzina...
— Wszystko w naturze ścichło w jednej chwili.
Zanim się księżyc z poza wzgórz wychyli,
Zasnuwa ugór jakaś martwość sina.

Wiatr lekko zmarszczył sennych wód powierzchnie
I między trawy ułożył się na dnie —
Czasem się promień na wód tafle kładnie,
Rozświetli głębie i bez śladu pierzchnie.

Za chwilę światła rozpłoną śród ciszy
I noc zapali złotych gwiazd miryady.
Tak cicho... zwolna zasypiają kwiaty...

Zda się, że teraz ludzki duch usłyszy,
Jak w sennych chmurach dzień przekwita blady
I jak się rodzą jakieś złote światy.

MODLITWA DO DUSZY.

Pani gwiazd złotych i smutku królowo!
W ciemnościach życia do ciebie się modlę —
Żem Cię, syn własny, oszukiwał podle,
Udając wielkość myśli piorunową.

Żem był jak pielgrzym, co przez ugór idzie,
Pytając drogi pobladłemi usty,
Żem skrzydła szargal po domach rozpusty,
Chociaż coś we mnie w niemym łkało wstydzie.

Pozwól się tylko odrodzić odnowa,
Bo drzemie we mnie moc huraganowa,
I zachowałem niby skarb w tej męce
— Kiedy mię porwie grzechu toń zdradziecka —

Ból, co nad wszystkiem załamuje ręce,
I niezmącone jasne oczy dziecka!

Henryk Zbierzchowski.

Fragmenty.

I.

Cicho; ani jedna krzewina się nie zachyboce, ani jedna trawka nie zaszeleści, ani jeden ton najcichszego szmeru nie wionie w powietrze...

Upał duszący legł ciężką piersią i tysiącem żarzących ust ssał soki ziemi...

W wielkim ogrodzie, gdzie stoją zwarte drzew olbrzymich trzony — słońce z trudem przedziera się rzadkiemi okami światła i rzuca tu i owdzie wysilone białe kwiaty słonecznych promieni na spopieloną ziemię.

Te oka świetlne mienią się czerwonawym blaskiem smolnych igieł sosnowych na wielkiem mrowisku...

Mrówki dźwigają spróchniałe resztki badyla.

Mrówki upału nie czują.

Idą, idą nieprzerwanie, zwartą lipką masą, rozsypują się, jak czarne paciorki szklane...

Idą, idą, dalej... dalej...

Jak armia życia nieustannie, wiecznie czynnego...

Nagle, oderwała się od pnia ciemnej lipy postać dziwna, niewidziana... Zjadliwy błysk kosił zielonawo-żółte jej oczy...

Jak wielki szary motyl była jej twarz, jak przeznaczenie były zimne jej usta, białą kreską odznaczone.

Wężowym ruchem wyśliznęła się z cienia i -- stąpa raz, drugi, trzeci, dziesiąty w sam środek mrowiska...

Jak wody potoku, gdy nagle wichura głaz w nie rzuci, zalewają brzegi, — tak fala żywych ciał wylała się z pod straszliwego nacisku stóp oszalałych.

Biegną, tłoczą się, spychają, walą ogłupiałe mrówki...

Daremnie!

Już ostatnie padły pod zajadłemi ciosami niszczącej mocy...

Co za tryumf piekielny drga na rozciągniętych wargach!

Jakże lekką i radosną staje się poczwarna postać!..

Nie dotyka prawie ziemi, mknie dalej...

Jaśminy tchną mdlejącą wonią, róże roztulają purpurą przesiąkłe płatki.

Nad ziemią zawisł mistyczny welon z woni kwiatów i zbóż kwitnących utkany.

W lubieżnem wygięciu liszka rozpręża wężowe ciało w objęciach kwietnych...

Jednym ruchem, jak myśl nagłym, ciemna postać dosięga jej, miażdży piękne, włochate ciało rozkosznisi...

Z drgającemi niezaspokojoną żądzą usty — chwyta motyla, co zatulony w pąku róży słodycze spijał, i zwolna sypie nań garście spopielonej ziemi...

Motyl rozpacznie bije skrzydłami, rwie się, walczy...

Już, już wynurza się z pochłaniającej go ziemi.

Napróżno! Nowa garść spada na wątłe jego ciało...

Słychać chrzęst łamiących się skrzydeł...

Coś, jakby głębokie westchnienie, osypuje kilka ziarnek z mogiły tej strasznej — i nic... zgasło...

Chciwe bólu źrenice pasą się tą męką, — zwężają się, jad sączą w spojrzeniu...

Pochylona postać prostuje się i — upojona — leniwie kroczy...

Tam, na końcu długiej, cienistej alei — jasny pióropusz złotego światła rzucił się na wielką, żółtą muchę, co wisiała nieruchoma, ze sztywnie rozpostartemi skrzydłami, wydając delikatne, drżące brzęczenia.

Małe, srebrne muszki, jak oczarowane, otoczyły ją kołem; najśmielsza — zawisła tuż nad głową dźwięcznej śpiewaczki.

Nagle, mucha podrzuciła się w górę, chwyciła srebrnoskrzydłą słuchaczkę... I znowu — w pióropuszu słonecznych blasków — cicho, śpiewnie zawisł punkt złocisty...

Śmiech dziwny, straszny zagulgotał i chrapliwym tonem przywarł do ust szarej postaci.

Przebiegle zadrgały blade wargi, wązkie źrenice skosiły się jeszcze bardziej rozradowaniem...

Zwysoka, zwysoka spuszczał się wielki pająk...

Chwila, i przeraźliwe brzęczenie rozdarło welon z aromatów kwietnych utkany!

Już trzyma pająk w szponach brzęczyzłotkę chytrą...

A wtedy wyciągnęła się koścista, sztywna ręka...

Ciemna postać rosła, rosła...

I — jak kosa trawę — zmiotła nagle kata i ofiarę.

Hahaha!

Hihihi!
Piekielny skowyt wstrząsł krzewinami.
Zbudzony pies — gdzieś zawył.
I cicho.

Ogniste igły kłują ziemię, aż pęka jej łono spopielone.

Jaśminy wyziewają wonie mdlejące. Róże roztulają purpurą przesiąkłe płatki...

Bezszelestnym jak cień, ukradkowym krokiem — idyotka mknie dalej.

II.

Wiem, napewno wiem...
Myślisz o mnie...
Myślisz i chciałbyś mię czuć blisko, blisko...
W jaki szary zmierzch, mówiłbyś długo, cichuchno o tem, czem byłeś niegdyś, niegdyś, czem jesteś i co ci się śni w niespane noce...
Prawda?

Jakże ci mnie brak!.. jak brak!
I duszy, i serca, i oczu pieszczących twoje oczy...
Wiesz, że my już przeszli i milczenia tajnie najstraszniejsze...
Wiesz, że się go nie lękamy, lecz dążymy poprzez życie ku czarze jego rozkoszy...
I przenika cię żar tęsknoty...
Ja wiem, ja wiem... ja wiem wszystko...

Ile wtenczas w tobie buntu, żalu, że mija to życie, a ty nie mnie kochałeś wtedy!..

Dlaczego to nie ja byłam?..

Dlaczego?.. a dziś — zapóźno, dziś nie pora, nie pora już...

Zapóźno, na to życie, które uchodzi.

Zawcześnie na to, które nadejdzie.

Czekajmy...

Śmierć — ta najbliższa — już blizka.

Czekajmy...

Że mówię ci *ty* — nie dziwisz się, prawda?

Nigdy inaczej cię nie nazywałam, nawet, gdy wątpiłam, żeś mi *tak* bliski...

Chciałabym cię nazywać *ja*, byś w nazwie nawet był mi najbliższy, najszczerszy...

Uśmiechasz się...

Razem jesteśmy, — my przecież jedno... Cóż, że nas morza głów ludzkich dzielą?..

My jedno...

Ironia!..

Słuchaj, czy ty kochając *ją*, tę nieznaną mi *ją*, — naprawdę, naprawdę ją kochałeś?..

Tak, tak — wiem przecież...

Tak być musiało...

Ja musiałam przyjść zapóźno.

Oczy ludzkie otwierają się zawsze zapóźno...

To, co wiemy, wiemy zapóźno...

A ty, a ja — to jedno.

Zapóźno stanęłam ci w oczach, i w marzeniu zapóźno...

Ale przypomnij sobie ten gaj pełny blasku rosy rozsłonecznionej w tęczodrżące klejnoty?

Przypomnij sobie toń wody modrej, i białe progi marmurowe, i wielkie kwiaty o oczach sennie zmrużonych, i nas zapatrzonych w siebie...

Byłeś — niebem.

Ja — byłam ziemią.

Przeniknął duch twój we mnie.

Dałam ci ciało moje i staliśmy się jednym światem.

Ile w tobie ziemi, tyle we mnie bóstwa twego...

Harmonia...

Pradawne to czasy.

Bajka?

A więc bajka.

Była ziemia. Był wiatr.

Wiatr pożądał ziemi.

Ziemię — wstrętem wstrząsał.

Rozkiełznane poszepty żądz szarpały jego spokojność wieczorną...

Sama mi się odda, sama — marzył.

— Ciszo, raju, cudzie, kocham cię, kocham...

Szmerem tchu kolistego otaczał ciało ziemi.,.

Zbliżył ku niej gorące wargi i rozbłysnął jak słońce, najwspanialsze ze wszystkich słońc miłości...

Słuchała Ziemia szeptu, słuchała chciwie, nie wiedząc, czyje to wargi płomieniem ku niej płoną...

Otworzyła oczy mdlejące rozkoszą i nagle — ujrzała nagość swoją...

Zrumienił ją wstyd...

Wstyd nasunął jej srebrzyste włosy, jak świeżo zroszoną ruń, na piersi nagie...

Z oczu padły łzy dziewiczego sromu...

Tysiące fiołków zakwitło, a kolor źrenic jej miały, zapach — jej ciała.

Owinęły ją liliową mgłą blasku swego, i w zieleni włosów, z oczyma rośnemi, Ziemia gorzała nie dla niego. Kochała niebo. Czekała na kochanka swego, czysta w swojej nagości...

Wstyd ją okrył — przed wzrokiem żądzy wiatru...

A jemu szarpnęły żyły drapieżne dłonie pożądania, zburzyły mu krew kłębem wężów zielonej zawiści..

Oddech jego świszczał, dyszał...

Palił spojrzeniem jej delikatną szatę, — włosy jej bladły i szarzały, spopielone piekłem żądzy jego.

Oszalałą wściekłość rozpętał w sobie, patrząc na jej zgrozę, pełną pogardy... — Jak zwierz dziki, rzucił się na bezbronną...

Jak zwierz, opasał ją tysiącem ramion, cisnął w szaleństwie uścisków niepodzielanych...

Kąsał i szarpał jej ciało...

Wysysał oddech z ust omdlałych...

Zdarł w strzępy szatę jej liliową.

Ginótł jej członki.

Wpił się w obłąkane jej oczy tysiącem błyskawic...

W zapamiętaniu uniesień wszechpotęgi rodzaju — runął na jej pierś młodzieńczą rozognionem cielskiem . . .

. . . .

Odszedł...

. . . .

Długo leżała w omdleniu ziemia obumarła...

Nagość jej świeciła wśród mroku światów jak lilia biała, strącona przez huragan...

A gdy rozwarły się bolesne oczy Ziemi, ujrzała swe łono rozdarte hańbą...

W górze — Niebo leżało zimne, zczerniałe...

Umarło.

Widziało zbrodnię i w niemocy rozpacznej — umarło.

Ostatnim wysiłkiem w przedzgonnej już odrętwiałości rzuciło szatę swoją na nieszczęsną Ziemię...

Umarło.

A Ziemia, pod płaszczem kochanka, w bolesnej nędzy i hańbie — zrodziła poczęte w gwałcie — Życie.

Bajka. — A więc bajka...

III.

Zamknijcie usta Ciszy!..
Wyrwijcie jej język gadzinowy!
Uciszcie ją...
Niech zmilknie ta wiedźma ohydna.
Niech się nie pastwi nade mną...
Dość... dość!..
Głowa mi pęka od straszliwych jęków tej straszliwej Ciszy...
Wiję się, zrywam i padam bez tchu...
Aaaa!
Masz!
Masz — tak! Masz!
Sztylet — w samo serce...
Nie, to nie serce, to kamień.
Nie drgnęło nawet pod żarem nadprzyrodzonym rozpalonego bólem żelaza.

Cóż znaczy, prawda, cóż znaczy mój ból, mój krzyk śmiertelnej kaźni?

Dla niej — Ciszy — to szmer opadającego listka róży polnej...

Dla niej — Ciszy — to posiew rosy...

W zapamiętałej, zdrętwiałej bezsile rozpaczy, gwałcisz sama siebie — Ciszo!

Nie słyszysz już nic...

Nic...

Gdybyś usłyszała jeden z tysiąca swych jęków krwawiących, nieszczęsna Ciszo, w łzach litości spłynęłabyś nad sobą.

Ogłuchłaś, Ciszo.

Nieszczęsna Ciszo!

Wszystkie bóle narodzin i śmierci światów — tych, co przeszły — i tych, co się staną — w tobie pieklą się, Ciszo.

Wszystkie je masz pod sercem, pod sercem z głazu.

W konwulsyjnie rozdartych szczękach twoich jeden szatański skowyt i jęk — wiedźmo dusz czuwających...

Litości, nie mogę patrzeć w ciebie, Ciszo ukrzyżowana...

Jad sączą twe wargi...

Jad twój palący kąsa i rozdziera mi piersi omdlałe rozpaczą...

Uciszcie Ciszę!..

Spłyńcie ku niej niewinne uśmiechy dzieci i małych staruszek białych...

Opaszcie jej głowę umęczoną tchnieniem ust miłosnych i miłujących...

Do niej, przeczyste rąbki lilij śnieżnych!..

Do niej spływajcie, łzy rozkoszy!..

Falujcie, ciała piękne i niepokalane...

Wiążcie się, kwietne kopuły aromatów...

Niech spocznie ta wieczna tułaczka...

Niech śpi, śpi — wieki.

Odpocząć, odpocząć — od jej straszliwego ryku, od klęski jej wrzasku.

Litości!..

Zamknijcie usta Ciszy...

Piekło z niej się toczy na Ziemię u nóg jej skuloną...

Zamknijcie te wargi bólem zczerniałe...

Litości!..

. . . .



Marya Zawiejska.

PEAN.

Część duszy świata dał mi Apollo w len, —
Z istotą rzeczy splątał w mistyczny sen,
Na pianę życia rzucił z góry —
W dźwięki fal, w twardą stal, w gór marmury.

I związał mocą dziwną — a pewną tak,
Na tłumy zjawisk w boski wprowadził szlak,
W rozdziale ją połączył znowu —
W świata tło życie szło, dzięki słowu.

Po kres przestrzeni rozwiał ją lotną mgłą,
I łzą bolesną, ruchu pragnącą skrą
Na tętna złożył ją naturze —
I dał czar bożych mar widzieć w chmurze.

Lecz czuł Apollo w duszy wieczności mus,
Jej nieśmiertelność czuł w zmianie form i póz,
Więc część jej oddał wszechistoty:
Niby kwiat padł w nią świat czarno-złoty.

STROFA SAFONY.

Powiedz — czemu płatki róż tracą wonie,
Czemu jesień liśćmi mży ziemię czarną,
Czemu chmurnie tuli mgła dumne skronie
W tęsknię cmentarną?

Czemu dzwoni smutnie tak rozdźwięk duszy
W opalowy, jasny dzień mdłej jesieni?
Iskry, plamy, gamy farb wicher prószy,
Miecie wśród cieni?

Na podłożu błysków, barw — czemuż dusza
Tak uczuwa śmierci sen strojny w złoto,
Klingę noża skrytą w mgle pióropusza,
Rozkosz z tęsknotą?

I dlaczego jaźni dreszcz tak ją trwoży
Zgonem w ciemni, w wichru szum, gdy mży rosa
Ciężkich, brudnych kropel dżdżu śród przestworzy...
— Mów — czarnowłosa!

STORNELLE.

Miłości cicha!
Jakże ten szczęśliw, w czyjem sercu gości
Twoj boski powiew, — kto tobą oddycha,
Cicha miłości! —
Z opalowego dajesz pić kielicha
Ekstazy pełne zaziemskiej jasności.

Chuci namiętna!
Gdy orkan gorgon na serce się rzuci,
Krwawe, drgające wypala w niem piętna. —
Namiętna chuci!
Tobą pulsują szaleństw dzikich tętna
Tobie klną ludzie z spokoju wyzuci.

JESIEŃ.

Cicha tęsknota późnej jesieni.

Liście pożółkłe i szeleszczące
Wolno na ziemię spływają drżące — —

Umierającej smętnej królewny
Zgon w purpurowej złota czerwieni —
Zgon cichy, cichy — prosty a rzewny — —

Wśród żółtych płatków, uschniętych liści,
Widać koronkę gałęzi ciemną — —
Z osypujących złoto swe kiści
Morze kolorów leży przede mną —

Jak smutnie szumi pod moją nogą
To zeschłe morze, jak mi się mieni —
I w dal tęczową ściele się drogą,

Na którą zżółkłe, szeleszczące
Liście powoli spływają drżące — —

Cicha tęsknota późnej jesieni.

ZWĄTPIENIE.

Żem wiele wycierpiał, choć krótkie me życie,
Żem z duszą swą w boje szedł wciąż płomieniste,
Żem jest nad przepaścią w bolesnym zachwycie —
Zmiłuj się, Chryste!

Że stoję w zadumie nad dziełem stuleci,
Że zrywam się atom w przestwory gwiaździste,
Że w duszy ciemnościach sto komet mi świeci —
Zlituj się, Chryste!

Żem padał znużony pod prawdy ciężarem,
Żem patrzał nie widząc w kryształy słów czyste,
Żem Ciebie nie odczuł w cierpieniu prastarem —
Zlituj się, Chryste!

Zlej w duszę łask światło na męczeństw Taborze,
Bym w ziemię te blaski słał niebios świetliste,
Daj życie, lub weź je, — lecz całe, o Boże! —
Usłysz mnie, Chryste.

Kazimierz Wroczyński.

Kronika miesięczna.

GLOSSY.

Walka o snobów. Gdy świeży powiew europejskiej myśli minie rogatki warszawskie i uzbroi polemistów i dziennikarzy, wszczyna się gwarna i hałaśliwa bitwa przed forum znudzonych kobiet, gadatliwych wyrostków i gnuśnych, napółsennych poczciwców. Z szańców nowych idei eksplodowały niegdyś jak bomby nazwiska Spencera, Comte'a, Buckle'a, Malthusa, Darwina i Haeckla; hufcem następowały dewotki; a z okopów św. Trójcy grzmiały ciężkie działa obywatelskości, społecznego zdrowia i wszelakich cnót i obowiązków. *Coram indolentia publica* toczyla się dowcipna walka o ideały, ścierali się styliści, parując nawzajem plotkę, fałsz i oszczerstwo. Zwycięzcy *(oba obozy zwyciężają w takich razach równocześnie)* zwycięzcy składają broń wtedy dopiero, gdy *indolentia publica* znuży się walką, gdy w arsenale zbraknie bomb, gdy zatrute strzały dziennikarskie obezwładnią lub zniechęcą tych, co w gwar bitwy nieśli z dobrą wiarą rzetelną wiedzę i prawdziwy talent. Filozofia, nauki społeczne, a przedewszystkiem wiedza przyrodnicza, wywiązawszy się znakomicie z roli publicystycznej tarczy i oręża, zakończyłyby pełny chwały żywot swój u nas, gdyby nie rozpaczliwe wysiłki garstki nieznanych ogółowi specyalistów, którzy poprzez hałaśliwą lecz jałową epokę walki, sięgnęli wstecz i próbowali nawiązać zerwane w początkach wieku nici. Bo w gwarze walki zapomniano bodaj i o tem, że przed tak niedawnemi stosunkowo czasy żyliśmy, jak każdy naród oświecony, nauką i sztuką równocześnie. Dziś wydaje się ludziom, że mała garstka tych, co swe życie sztuce poświęcili, — zgnębić pragnie naukę! — Publiczność, rozochocona widowiskiem walki, nudzi się w czasach spokoju, wyrzeka na oportunizm zapaśników, na brak zapalnych podniet, czyli wielkich haseł, na bankructwo ideałów i nauki; pragnie polemiki bodajby kosztem myśli, łaknie

dziennikarskich *circenses,* grożąc w przeciwnym razie gnuśnem i tępem zobojętnieniem na wszelkie objawy duchowego życia.

To „zdziennikarzenie“ społeczeństwa pragnie z kolei wprowadzić i nas na arenę. Już się snoby po amfiteatrach roją, już sobie obiecują widowisko, już gotowi klaskać, gwizdać, szczuć jednych przeciwko drugim.

Tym razem zawiodą się gorzko. Stokroć ważniejszą niźli wszelkie polemiki, wydaje nam się konieczność rozjaśnienia atmosfery wokół siebie, rozejrzenia się wśród naszych przyjaciół, oraz tych, co za nich uchodzić pragną.

Po smutnym typie *struggle-lifera,* któremu było wygodnie z teoryą walki o byt, z Darwinem i Malthusem, z patosem hasła „pracy u podstaw,“ — zjawił się oto typ nowy.

Artysta symulant, ten obrotny rzemieślnik, żądny popularności, a chciwy użycia—to najweselsze dziecko owej sztuki, dla której geniuszem jest lekkonogi Hermes, muzą — Venus vulgivaga, wyrocznią — dzień dzisiejszy. Kto nie zna tych zwinnych, skrzętnych, na wszystkie strony zezujących i wszędzie szukających sympatyi — artystów? Nadewszystko skrzętnych? Kto nie zna tych, co mają przyjaciół przy każdej rogatce, protektorów w każdej sferze towarzyskiej, w każdym piśmie swych życzliwych, swoje warszawianki w każdym salonie, i na każdej ulicy co najmniej jedną alkowę z wielbicielką talentu? Panowie ci bywają zawsze kwintesencyą czasu, o ile atmosferę jego wchłonąć można na ulicy i w salonach; są ekstraktem nowych prądów, o ile wwionie je do uszu gazeta lub moda. Są tak doskonale „w stylu...“ tak znakomicie „*à la*...“ że służą recenzentom za frebłowskie wprost pokazy w ich prelekcyach o sztuce. Dzieje się to dla bardzo zrozumiałego powodu: szerokie koła wolą od nowej myśli i indywidualnych usiłowań, zmuszających bądź co bądź do zastanowienia, — ich karykaturę, dającą miłe poczucie wyższości i pozwalającą przy tanim nakładzie wiedzy i inteligencyi odnosić łatwe zwycięztwa, lub, co dziwniejsza, z tąż karykaturą jako z rzeczą bądź co bądź przystępniejszą zawierać ugodowe pakty. Przypuszczalny chorąży „nowego kierunku“ pokonywa tymczasem snobów, którzy codziennemi pogromami wszak żyją i żyć pragną, i z tą armią ciągnie na sceptyków, którzy jako nieobecni mogą być uważani za pokonanych. Wreszcie czeka go główna batalia z filistrem. Czyjś indywidualny motyw, przetransponowany na jaskrawy i kompromisowy efekt, stacza walkę z całkowitą indolencyą: zwycięża oczywiście efekt. — I tak oto po bezkrwawej wojnie tryumfuje —

„kierunek.“ Oczywiście kierunek! — artysta symulant zawsze walczy w imię nowego kierunku, w imię „stylu...“, na chwałę „*à la*...“ ponieważ *on* sam nic nie przedstawia, ponieważ *w sobie* niema nietylko nic takiego, coby zwyciężać potrzebowało i mogło, lecz nawet nic, z czemby walczyć było można.

Takimi są popularni chorążowie secesyi i modernizmu, równie secesyjni jak dekoracye modnych kawiarni, równie modernistyczni jak okładki na książkach nowych firm wydawniczych, równie przystępni jak wszystkie płaskości repertuaru nadsceny, rownie popularni jak proklamowana i w zaczątkach już będąca *Localkunst,* równie niezmordowani jak pp. Bierbaum, Wolzogen i inni „pstrych teatrów inicyatorzy.“

„Trzeba z żywymi naprzód iść!“ — słychać wokół artysty symulanta. Złośliwe echo powtarza niesmacznym akcentem przezorne: „Naprzód z młodymi trzeba iść!“

Gdy ze wszystkich barwnych kwiatów puszek efektu został zebrany, nektar popularnych sensacyj doszczętnie wypity, nawraca się artysta: w wehikule, który go niósł, niema już nic do roboty. Z rozmachem życiowca skacze we wprost przeciwną stronę, w skutek czego, siłą bezwładu, runąć musi nieraz na ziemię. Nazywa się to: artysta znalazł wreszcie siebie, prawdopodobnie dla tego, że ustawicznie uganiając się za cudzemi cieniami, nakrył wreszcie swój własny.

Jest i drugi typ artysty symulanta, daleki od bezpośrednich widoków praktycznych, a więc znacznie sympatyczniejszy; — człowiek temperamentu i życiowej energii. Wywiązuje się bardzo poprawnie ze swych robótek, jest przytem pełen zapału i ognia w sprawach tyczących kierunków, celów i ideałów sztuki, podnosi tyle wrzawy, gwaru i kurzu wokół siebie, że gotów sprawić wrażenie człowieka, który rozpaczliwie czegoś szuka. Dziś go porywa głębia da Vinciego, jutro zwycięża potęga Michała Anioła; zrana jest spokojnym, jasnym i krzepkim grekiem, po obiedzie przeczulonym i łagodnie zmysłowym prerafaelitą, po kolacyi błąka mu się po głowie Fragonard, po winie Rops, po likierach Przybyszewski, a po tak spędzonym wieczorze wśród bezsennej nocy trapią go wizye Goyi. Ale to wszystko nie ma nic wspólnego z jego pracą, — temperament artysty wyładował się doszczętnie w słowach, sprzeczkach, krytykach i projektach: dzieła zostają po staremu bardzo poprawną, bezosobową robotą, bez śladu dążeń w jakimbądź kierunku, bez najlżejszych prób pogłębienia swej pracy uczuciem i myślą. Da Vinci

z Fragonardem, Michał Anioł z Ropsem, prerafaelici z Goyą, Helleni z Przybyszewskim poszli spać; indywidualność, o której się z takim łoskotem rozprawiało, wytarła się w słowach, postrzępiła w sprzeczkach, rozwiała w krytykach; do pracy niestarczyło jej wcale.

Jest to artysta czy filozof wypowiadający się jak Sokrates — przy winie wyłącznie; typ twórcy — pofajerantowego.

Jest to tragedya filistra rewolucyonisty, o ile dla filistra bywają tragedye, i o ile rewolucyonista przyzna się bodaj przed samym sobą do filisterstwa. Jakkolwiekbądź, na tej drodze dochodzi filister najłatwiej do symulacyi, zaczyna się sobie podobać w groźnej roli rewolucyonisty, lubi być czerwieńszym od swego sztandaru, bywa *plus Tartarin que Tartarin de Tarascon*.

I to są także heroldzi secesyi wraz z modernizmem, równie secesyjni jak miejscowi gaduli o sztuce, równie modernistyczni jak były „Strumień“ (z nielicznemi wyjątkami co do treści i współpracowników) i jak wszyscy debiutanci dramatyczni (ci w czambuł należą do krańcowych modernistów, prawdopodobnie z racyi kontrastu do archaizmu naszego repertuaru), równie popularni i wytrwali bojownicy jak pan Bahr w Wiedniu, jak pani Laura Marholm na północy, jak podobni tym francuzi, czy holendrzy, czy skandynawi.

I ci się nawracają siłą tej konieczności, z jaką człowiek na swej wewnętrznej, najistotniejszej prawdzie w życiu skończyć musi. Ten rozłam upodobań z przyrodzonemi skłonnościami, sam przez się nielogiczny, długo trwać nie może; niepodobna w atłasowych pantofelkach Pierrota czy Kolumbiny pląsać lekko przez całe życie wokół tych ciernistych ścieżek sztuki, na których inni bose nogi krwawią. — I oni się nawrócą, to jest, właściwie pozostaną tem, czem byli, tylko w miarę jak młodość i temperament opuszczać ich zaczną, opadnie i ten zapał do spraw tyczących kierunków, celów i ideałów sztuki. Celem ich i ideałem stanie się oczywiście to, co przy wrodzonych skłonnościach osobiście osiągniętem być może, na wszystko inne zaczną spozierać z tak bardzo zrozumiałym i tak łatwo nawet wybaczalnym wówczas sceptycyzmem.

Nazywa się to: artysta znalazł wreszcie siebie, ponieważ kręcąc się zupełnie zbytecznie na miejscu, na temże miejscu, na którem stał od dawna, położył się wreszcie spać — na laurach oczywiście. Te były już oddawna gotowe.

Jest wreszcie cała falanga symulujących, po salonach, rautach i buduarach, już nie artyzm, lecz zamiłowanie do niego, ta pospolita rzesza estetyków symulantów, głęboko przekonanych, że muzy ze

szczególną lubością usługują sytym, próżnym i wykwintnym, wykwintnym na zewnątrz. Są nawet kobiety, co na ten tonik artyzmu nastroiły swe nerwy seksualne. O nich mówićby wprost nie warto, gdyby nie dziwny objaw zawiści, jaki wywołują w pewnych sferach ci nasi na razie (niestety!) zwolennicy. „Nastały czasy na kwiaty, społeczeństwo rzuciło się ku estetyce“ (?!). Tych zwolenników odstąpić gotowiśmy każdemu, co się po nich jawnie i bez wstydu zgłosi. Będziemy najszczęśliwsi, kiedy nastaną dla nich mody i czasy na inne nowinki. Tem łatwiej porozumiemy się z tymi, do których jedynie zwracać się pragniemy.

Tak więc, przyjaciele nasi, słowa nas nie powiążą, zwłaszcza tak wytarte jak secesya i modernizm. Połączyć nas może tylko sztuka, — ta jedyna i wieczna, co nie zna kierunków i haseł, lecz tylko twórczą moc i głębię artysty, który na niej swoje piętno wyciska, sztuka poczynająca się nie z prądów dzisiejszego dnia, lecz z twórczej potrzeby jednostki, sięgająca w głąb jej duszy po indywidualne źródła poezyi i artyzmu, sztuka dojrzewająca w samotności, bez której twórcy niema, i przy rzetelnych darach rzetelną wypowiadająca się pracą. Więc w pracy tylko spotkać się możemy, po jej owocach poznać się i ocenić wzajemnie. A na to nie trzeba koniecznie za ręce się trzymać, niekoniecznie trzeba się skupiać w jednym salonie czy w jednem czasopismie. Po przez dalekie kraje i obce mowy, po przez drobiazg osobistych niechęci, wbrew draźnieniu dziennikarzy i szczuciu polityków, a więc wbrew nienawiściom plemiennym, rasowym i narodowym, tacy ludzie poznają się i oceniają wzajemnie. Lecz jeśli gdzieś w głuchym zakątku zapragnie mała garstka swe najskromniejsze bodajby, lecz rzetelnie podjęte usiłowania zanieść pod ten wieczny znicz sztuki, jeśli na samym początku, przy pierwszych krokach spotka się z gniewnym pomrukiem sąsiadów lub arcywymownem ich milczeniem, jeśli z pomruków tych czy niemoty wyłaniać się poczną po kątach ciche zaklęcia, że zniszczy się te usiłowania, jeśli się sąsiedzi gdzieś po kątach zaroją, denuncyując sobie wzajemnie na ucho, że oto są ci, co wnoszą rozkład obyczajowy w smutek naszego życia, wówczas ta garstka podać sobie musi na chwilę ręce, lecz na to tylko, by w gnuśnej atmosferze czcigodnej obłudy i szlachetnego fałszu wywalczyć prawa jednostce, jednostce twórczej.

Nicht zum Guten, nicht vom Bösen
Wollen wir die Welt erlösen,

Nur zum Willen, der da schafft —
Dichterkraft ist Gotteskraft!

Po za tem, życie płynie bądź co bądź i u nas szerokiem korytem, niosąc i inne zagadnienia, na które każdy zosobna rozmaicie zapatrywać się może. Lecz wszystkich tych, którzy w rzeczach twórczości cośkolwiek mają wspólnego, łączy wiara, że na owym zniczu sztuki płoną trwalsze od miejsca, czasu i sąsiedzkich zapatrywań, niezależne, najistotniejsze i wieczne pierwiastki życia.

Tredecim.

SZTUKI PLASTYCZNE.

W ostatnich 8 — 10 miesiącach, ruch w dziedzinie sztuk plastycznych wzmógł się u nas imponująco. Wprawdzie do głoszonego (i opłakiwanego rzewnie) przez prasę „rozestetyzowania całego społeczeństwa“ bardzo jeszcze daleko, wprawdzie zajadła reakcya różnych „nierozumiejących“ elementów doby wczorajszej harcuje właśnie w najlepsze, w parze z godnie jej odpowiadającym snobizmem bezmyślnym, wprawdzie wiele najpiękniejszych zapoczątkowań znajduje się dopiero w stadyum próby, dążenia, wysiłku, i udaremnia się niejednokrotnie lub deformuje pod nieprzyjaznemi wpływami, — ale, bądź co bądź, zatęchłą atmosferę artystyczną przebiegło świeże, ożywcze jakieś tchnienie, a śród całego szeregu dobrowróżbnych objawów są i takie, którym epokowe wprost znaczenie z góry przypisać można. W rzędzie tych ostatnich zwrócić dzisiaj chcemy uwagę na dwa fakta z zakresu szkolnictwa artystycznego: ministeryum Najwyższego Dworu zezwoliło na otwarcie projektowanej w Warszawie szkoły sztuk pięknych, a jednocześnie prawie reforma t. zw. średnich zakładów naukowych, ze względu na niezmierną doniosłość wychowawczą rysunków, uczyniła je przedmiotem obowiązkowym i, co ważniejsza, uznała za konieczne, aby nauczycieli tego przedmiotu rekrutować wyłącznie z osób posiadających należyte wykształcenie artystyczne. Ogromnego znaczenia miejscowej szkoły sztuk pięknych niepotrzeba prawie objaśniać. Daje ona możność kształcenia się pod swojem niebem, śród swojej przyrody, i pozwala adeptom sztuki łatwiej „pozostać sobą,“ aniżeli podczas studyów śród zupełnie obcego otoczenia. Usuwa potrzebę zbyt wczesnych wyjazdów za granicę, co zwykle prowadzi olśnionych znajdowaną tam brawurową techniką wędrowców do niewolniczych naśladownictw. Skupia wreszcie na

miejscu grono ludzi (zarówno profesorów i uczniów) oddanych tylko sztuce, klnących się tylko na sztukę, mówiących i myślących tylko o sztuce, i wytwarza przez to istotną, od obcych przymieszek wolną atmosferę artystyczną, która pomału oddziaływa na całe społeczeństwo, uszlachetnia jego wrażliwość, krępuje zbyt „swobodne“ sądy i wprowadza w traktowanie kwestyj, spraw i dzieł sztuki należną powagę. Dzieje się to wszakże tylko wtedy, gdy szkoła jest szkołą, nie zaś siedzibą takich czy innych doktryn. Chodzi zatem tylko o jedno, aby założyciele szkoły i wogóle członkowie komitetu mającego obierać kandydatów na kierowników artystycznych nie uważali tej chwili za odpowiednią do ujawniania jakichś anti-nowo-kierunkowych tendencyj, lub do propagowania czy to sentymentalnej czy też sformułowanej przez pewnego krytyka „gnojówkowej“ swojszczyzny. Szkoła nie zna żadnych kierunków, zna tylko zdolność lub niezdolność, a dobrym nauczycielem jest jedynie ten, co, pomijając wszelkie -izmy, najskuteczniej pomaga uczniowi do odnalezienia *siebie samego,* swojej najgłębszej istoty, do widzenia po swojemu i po swojemu wcielania tej wizyi. — Artystycznie prowadzona nauka rysunków w t. zw. średnich zakładach naukowych niemniejszej jest wagi. Ma ona na celu nie wychowanie artystów, lecz wyrabianie śród ogółu zdolności do odczuwania sztuki i piękna. Powszechny dzisiaj brak smaku, oraz wybitna gruboskórność estetyczna mas, nawet inteligentnych, są niewątpliwym rezultatem zupełnego w ciągu ostatnich lat 50-ciu zaniedbania tej strony w wychowaniu. Smak i wrażliwość na piękno są w części tylko darem natury, w drugiej zaś, może znaczniejszej, owocem należytego pielęgnowania zadatków wrodzonych. Kultura odpowiednia rozwija je wspaniale; bez kształcenia zaniknąć mogą zupełnie. W krajach niektórych, np. we Włoszech, poczucie estetyczne wyrabia się mimowiednie, pod wpływem otoczenia, niezwykle harmonijnej przyrody i co chwila rzucających się w oczy zabytków wielkiej sztuki. Gdzie tego brak,—tem większy kłaść trzeba nacisk na świadome i celowe wychowanie estetyczne, i to od lat możebnie najmłodszych, póki wszystko żywiej i łatwiej „drugą naturą“ się staje. To tylko, to jedynie może powstrzymać szerzącą się zarazę snobizmu, położyć kres pysze gruboskórców estetycznych, chlubiących się niejednokrotnie swym analfabetyzmem w tym kierunku, i zwiększyć poczet, zbyt dzisiaj nielicznych i wyosobnionych, szczerych, istotnych, gorących miłośników sztuki. — Oba te fakta: powstanie specyalnej szkoły sztuk pięknych i zwrócenie uwagi w szkołach średnich na kulturę estetyczną, są właściwie posiewem na przyszłość, którego znaczenie kiedyś dopiero w całej pełni da się ocenić. Dzisiaj już

wszakże, przed ostatecznem urzeczywistnieniem i plonowaniem, mają one wagę jako dowód zbudzenia się pewnych drzemiących do niedawna potrzeb i pragnień, które zaspokoić było ich celem. Zwłaszcza zaś założenie szkoły sztuk pięknych, jako rezultat inicyatywy i ofiarności prywatnej, wprowadza nas, przez tę mecenasowską cechę swoją, w dziedzinę objawów rosnącego zainteresowania sztuką śród osób poza sztuką stojących. Zainteresowanie to najrozmaitsze przybierać może postacie: kolekcyonerstwa dzieł sztuki, pomagania kształcącym się artystom, wielkich realizacyj artystycznych, opieki nad zabytkami sztuki dawnej, dążeń wreszcie do uartystycznienia nawet przedmiotów codziennego użytku. We wszystkich tych formach i rodzajach doba ostatnia godne najbaczniejszej uwagi przyniosła zjawiska — i niemi to, oraz ożywieniem niezwykłem śród artystów i w instytucyach sztuce poświęconych, zajmiemy się w przeglądzie następnym.

Z. P.

KSIĄŻKI NADESŁANE.

POEZYA. — Stanisław Barącz. *Impresye.* Księgarnia Polska. Lwów. — A. O. *Stare Miasto. Obrazki z niedawnych lat.* J. Fiszer. Kraków. — Leopold Staff. *Mistrz Twardowski. Pięć śpiewów o czynie.* Księgarnia Polska. Lwów. — Józef Sladek. *Urywki poetyczne.* Przekład Konrada Zaleskiego. Skł. gł. u Gebethnera i Wolffa. Warszawa.

POWIEŚĆ. — Jan Augustynowicz. *Pociągnięcia pędzlem.* Gebethner i Wolff. Warszawa. — Rene Bazin. *Rodzina Oberlé.* 2 tomy. Bibl. Dz. Wybor. Warszawa. — Wanda Grot-Bęczkowska. *W szponach.* Gebethner i Wolff. Warszawa. — G. Daniłowski. *Z minionych dni.* Gebethner i Wolff. Warszawa. — Sewer. *Wybór pism. Jedna noc w Londynie. Pan Piotr.* Nakład „Wędrowca.“ Warszawa. — Sewer. *Wybór pism. Głodowa pożyczka. Pozytywizm w praktyce. Nice.* Nakład „Wędrowca.“ Warszawa.

TEATR. — J. Łuszczewski. *Janusz Korczak.* Dramat w 3 aktach. Friedlein. Kraków. — Maurice Maeterlinck. *Théâtre.* 1-er vol.: *La princesse Maleine. L'intruse. Les aveugles.* 3-me vol.: *Aglavaine et Selysette. Ariane et Barbe-Bleu. Soeur Béatrice.* P. Lacomblez editeur. Bruxelles. — Jan Zakrzewski. *Ananke.* Dramat liryczny. Skł. gł. u Gebethnera i Wolffa. Warszawa.

STUDYA LITERACKIE I ESTETYCZNE. — Antoni Jasieńczyk Jabłoński. *Przodownica sztuk plastycznych. Studyum.* Skł. gł. u Wendego. Warszawa. — Ignacy Matuszewski. *Słowacki i nowa sztuka. Twórczość Słowackiego w świetle poglądów estetyki nowoczesnej.* Gebethner i Wolff. Warszawa. — Jerzy Żuławski. *Prolegomena. Uwagi i szkice.* Towarzystwo wydawnicze. Lwów.

HISTORYA. — Karol Szajnocha. *Jadwiga i Jagiełło.* Część III i IV. Bibl. Dz. Wybor. Warszawa.

PAMIĘTNIKI. — Aleksander Wybranowski. *Ongi w dworach i dworkach szlacheckich.* Bibl. Dz. Wybor. Warszawa.

HERALDYKA. — Adam Boniecki. *Herbarz Polski.* Część I. Tom IV, zesz. 3-ci. Skł. gł. w księg. Gebethnera i Wolffa. Warszawa.

NAUKI FILOZOFICZNE. — Emil Boutroux. *Pojęcie prawa przyrody w nauce i filozofii spółczesnej.* Przełożył Wł. Spasowski. Przedmowa Ad. Mahrburga. Nakł. E. Wendego i S-ki. Warszawa. — Jan Mazurkiewicz. *Andrzej Towiański. Studyum psychologiczne.* Skł. gł. w księg. Gebethnera i Wolffa. Warszawa.

PODRÓŻE. — Jan Grzegorzewski. *Z pod nieba wschodniego. Nowele i fragmenty z podróży.* Towarzystwo Wydawnicze. Lwów.

ANTOLOGIE. — Julius Zeyer. *Myszlenky.* Se spisu basnikovych vybrala Marie Kalaszova. Nakł. F. Szimaczka. Praha.

VARIA. — Klebs, Lepsius, Meynert, Bouchard, Weigert. *Zagadnienia z medycyny i nauk przyrodniczych. Pięć odczytów* zebrał i spolszczył Dr. W. D. Moraczewski. Lwów. H. Altenberg. — Pierre Leroy-Beaulieu. *Nowe społeczeństwa anglo - saksońskie.* Tłómaczył Klemens Podwysocki. 2 tomy. Bibl. Dz. Wybor. Warszawa. — Stanisław Piotrowski. *Wspólna własność ziemska w gminie wielkorosyjskiej. Studyum ekonomiczno - społeczne.* Nakł. księg. E. Wende i S-ka. Warszawa.

CZASOPISMA NADESŁANE.

MERCURE DE FRANCE. (Paris). Novembre, decembre, 1901. — Fr. de Miomandre: *Remy de Gourmont.* — A. Rivoire: *Caresses.* — M. Gorki: *les Fermoirs d'argent.* — E. Dujardin: *Petits poèmes d'autrefois.* — L. Bloy: *Exégèse des lieux-communs.* — V. Josz: *le Giron d'Antoine Watteau.* — L. Delarue-Mardrus: *Visions.* — Rachilde: *Leur Viau.* — M. A. Leblond: *Leconte de Lisle 1870 — 1871, la fin de sa vie.* — G. Danville: *l'Amour magicien.* — A. Beaunier: *Francis Vielé - Griffin.* — Em. Verhaeren: *l'Art.* — H. de Regnier: *l'Amour et le plaisir, histoire galante.* — Stuart Merrill: *Trois poèmes du crepuscule.* — Dr. A. Prieur: *La science et le théâtre.* — Ch. Guerin: *les Nymphes de la Forêt.* — R. de Bury: *l'Almanach des Muses pendant la Révolution.* — L. Dumur: *Un coco de génie.* — Revue du mois.

MODERNI REVUE. (Praha). Rzijen, listopad, prosinec 1901. — W. G. van Nouhuys: *Egidius a cizinec.* — Milosz Marten: *Mimo dobro a zlo.* — Remy de Gourmont: *Moralka lasky.* — Arthur Machen: *Velky Buh Pan.* — J. K. Huysmans: *Obluda v umieni.* — J. Hilbert, St. Neumann, J. Holy, Viktor Dyk, Karel Toman, Ot. Brzezina: *Basnie.* — J. Holy, V. Dyk, K. Srdce, O. J. Bierbaum: *Satyricon.* — *Miesiczni hlidka.* — *Kronika.* — *Nove publikace.* — J. Aarts, J. Szir, H. Steiner, Steinlen: *Kresby a litografie.*

THE OUTLOOK. (London). № 193—204. 1901. — *Stylists in Paint.* — *The revival in english classics.* — *Mr. Kipling at Kamakura.* — *Robert Louis Stevenson.* — *The lotus eater.* — *The successor of Tennyson.* — *260 „Novels of the year."* — *„Patti, Patti."* — *The two Shakespeares.* — *Constable the modern.* — *Midnight music.* — *Verses. Short stories. Reviews. Literary Gossip. A first glance of new books.*

PRZEGLĄD FILOZOFICZNY. (Warszawa). Rok IV, zeszyt 4. 1901. — Prof. Dr H. Struve, Ks. prof. I. Radziszewski, prof. dr. M. Straszewski, dr. W. M. Kozłowski, dr. J. Kodisowa, dr. W. Heinrich: *Co to jest filozofia.* — *Książki nadesłane* (bibliografia).

LA RASSEGNA INTERNAZIONALE. (Roma). Ottobre, novembre, dicembre 1901. — L. Zuccoli: *Agli amici del grigio, Uomini e fatti della vita italiana.* — D. Angeli: *Enrico Coleman, Onorato Carlandi.* — I. M. Palmarini: *l'Arte di Giotto.* — R. Pantini; *I problemi della via.* — J. L. Pagano; *Jacinto Verdaguer, Angel Guimerd, Letteratura ispano - americana.* — E. Sansot - Orland: *Jean Moréas.* — L. d'Ambra: *Il nuovo libro di Octave Mirbeau, Il nuovo romanzo di Paolo Bourget.* — R. Forster: *Molto strepito per... qualche cosa, Nouvelles conversations avec Eckermann.* — Jolanda: *Il vincitore.* — P. Hortala: *Il regionalismo in Francia.* — C. Le-

vi: *Cronaca drammatica.* — V. Pica: *Aubrey Beardsley.* — A. A. Bernardy: *Aurea consurgens Roma.* — R. de Gourmont: *Due libri d'amore.* — L. Capuana: *Forze occulte.* — Cistiakov: *Caccia al lupo nella steppa.* — G. Natali: *la Critica del Leopardi.* — F. Sirola: *Rassegna tedesca.* — E. Corradini: *Del teatro stabile e dei comici.* — A. Beltramelli: *Giovanni Pascoli.* — G. Gerola: *Candia all' epoca veneziana.* — A. Mori: *Charis e Marmar.* — Evelyn: *Studi critici di Ouida.* — O. Gigholi: *Kate Greenaway.* — E. A. Masino: *Carmine.* — G. Eekhoud: *Rassegna belga.* — G. d'Annunzio: *Francesca da Rimini.* — U. Ojetti: *Morale vecchia e giornalisti nuovi.* — Sem Benelli: *La „Francesca" di G. d'Annunzio.* — R. Lothar: *Teatro tedesco.* — *Appunti bibliografici. Notiziario generale.*

THE REVIEW OF REVIEWS. (London). Sept., oct., nov., dec. 1901. — *„The eternal city."* — *A Rabbi at Oberammergau.* — *The future of the english language.* — *The latest Kipling.* — *An unpublished poem by Robert Burns.* — *Robert Louis Stevenson's life.* — *Rudyard Kipling's „Kim."* — *The voyage of Ithobal.* — *The revival of phrenology.* — *Mr. Henley on „Lewis" Stevenson.* — *The romance of art and poverty.* — *„Anticipations" by Mr. H. G. Wells.* — *Art in the Magazines.*

LA REVUE DU BIEN. (Paris). Novembre, decembre 1901. — E. des Essarts: *Hellénisme.* — H. Mazel: *Les trois rois.* — G. Vanor: *Sur Henri Heine.* — M. Legrand: *Poëmes d'Henri Heine.* — P. Stapfer: *Le bien et le beau.* — J. Bonnefon: *Solidarité intellectuelle.* — *Bibliographie. Illustrations.*

REVUE FRANCO-ITALIENNE ET DU MONDE LATIN. (Naples). Decembre 1901. — *Une lettre de Théopile Braga.* — E. Gorra: *François Villon.* — J. P. Guerrero: *España contemporanea.* — P. Gourmand: *L'union panlatine.* — X. da Cunha: *Lux aurea.* — A. Ferrer: *Domenico Morelli.* — G. Potée: *L'espoir.* — Gr... aeculus: *Littératures latines modernes.* — *Portugal et Brésil.* — P. Durel: *Nonce Casanova.* — R. B. Binda: *Svolazza.* — Ph. Lebesgue: *Le poëte Lambros Porphyras.* — L. Porphyras: *Les navires.* — *Chronique des lettres latines* (Italie, France). *Dans les revues.*

SRDCE. (Žamberk). Rzijen. 1901. — J. z Wojkowicz: *Veczerni piseň.* — Ot. Theer: *Karla.* — J. Opolsky: *Na pouszti.* — M. Marten: *O otazce czeskeho romanu.* — A. Venig: *Impromptu.* — O. Zenith: *Milenka.* — J. Namiestek: *Budhovy sochy.* — Em. szl. z Leszehradu: *Naszi moderni kritikove.* — K. Božek: *Zbyteczny život.* — K. R.: *Proti t. zv. krvavym romanum.* — *Kritika.* — *Literatura.* — *Divadlo.* — *Morava. Slezsko. Slovensko* — *Drobne zpravy.* — *Bibliografie spolupracovniku Srdce.*

SLOVANSKY PRZEHLED. (Praha). Rzijen, listopad, prosinec 1901. — Fr. Kvapil: *Z nove poesie polske: Antoni Lange.* — P. Maternova: *Z nove poesie ruske. N. M. Minskij. D. S. Mereżkovskij.* — M. Zdziechowski: *Ivan Mažuranicz jako lyrik.* — Szt. Radič. *Nejdokonalejszi przedstavitel slovanske myszlenky (Jirzi Križanič.)* — Ig. Horzica, Rom. Zawiliński: *Ke sporu czesko-polskemu v Tieszinsku.* — J. Polivka: *Ke sporu czesko-polskemu v Tieszinsku.* — *Dopisy:* z Petrohradu, z Poznanie, z Krakova, z Chorvatska, z Bulharska, ze Slovenska, z Lužice, z Londyna, z haliczske Rusi, z Korutan, z Krajiny. — *Rozhledy a zpravy:* Slovane severozapadni, Slovane vychodni, Jihoslovane. — *Posudky a oznamy.* — *Vyobrazeni.*

THE SPECTATOR. (London). № 3827—3835. 1901. — *Stevenson's personnality.* — *Mr. Munby's Poems.* — *Miss Benson's Animal Stories.* — *Superstitions of the Scottish Highlands.* — *The Annals of literary Judgment.* — *Dreams and their Meanings.* — *Modern Mexico.* — *The last of the old Impressarios.*—Current literature. — Publications of the week.

TYGODNIK ILLUSTROWANY. (Warszawa). №№ 42—52. 1901. — W. Sieroszewski: *Jang-Hun-Tsy.* — Sewer: *W lesie.* — Wł. Bełza, K. Gliński, W. Gomulicki, Adam

M-ski, Orkan, Or-Ot, Selim: *Poezye.* — W. Trojanowski: *Wykształcenie artystów.* — Ign. Matuszewski: *Krytyka koleżeńska i zawodowa.* — *Kroniki. Sprawozdania. Ryciny.*

WISŁA. (Warszawa). Wrzesień, październik 1901. — Wł. Olechnowicz: *Rasy Europy.* — St. Sawicka: *Opis wesela w Biedrzychowie.* — Prof. J. Kral: *Najnowsze kierunki badań mitologicznych.* — St. Zdziarski: *Skarby tatrzańskie.* — Wuk Stefan Karadzicz: *Pieśni serbskie.* — Z. Weyberg: *Muzeum tatrzańskie im. Chałubińskiego.* — *Poszukiwania.* — *Przegląd czasopism.* — *Drobiazgi ludoznawcze. Różne wiadomości. Bibliografia.*

ZVON. (Praha.) 1901. Rzijen — prosinec. Seszity 1 - 7. — A. Jirasek: *U nas*. G Preissova: *Podjezernicke sny.* — K. Leger: *Trzi szvadlenky.* — Zikm. Winter: *Amnestie na chvilku.* — Fr. X. Svoboda: *Povidka o lehkem srdci.* — J. Chalupecky: *Hudba barev.* — J. Korzensky: *Hostem u czeskeho krajana ve Vladivostoku.* — K. V. Hajek: *Dobry czloviek.* — M. Jahn: *Bolest.* — V. Hugo: *Z knihy: Post-scriptum de ma vie.* — J. Borecky, S. Bouszka, A. Breska, K. Czervinka, C. Duszek, X. Dvorzak, I. Geisslova, A. Heyduk, B. Jarovec, R. Jesenska, B. Kaminsky, A. Klasztersky, H. Pilbauerova, F. S. Prochazka, K. Rasver, M. Silen, A. Szkampa, J. Vetterovsky, J. Vrchlicky: *Basnie.* — *Literatura. Divadlo. Hudba. Vytvarne umieni. Tyden.*

VARIA.

„Stara, barbarzyńska Japonia...“ — Warszawa pomściła Europę. Niech znają naszych! — „Uroczy“ kraj „wschodzącego słońca“ długo tonął w barbarzyństwie. Wielki przewrót w drugiej połowie ubiegłego wieku dał mu demokracyę, militaryzm, dążności zdobywcze — i wogóle smak do wszelakich słodyczy „cywilizacyi“ europejskiej. Maluczko, a Japonia zeuropeizuje się nawet w sztuce, będzie miała w malarstwie swoich Bouguereau, w dramacie swoich Sardou, Sudermannów i Hauptmannów. I któż wtedy nie nazwie braćmi tych kosookich? — Cóż, kiedy — właśnie w chwili gdy oni rozwijają się tak pięknie — w Europie naszej „znajdują się usłużni“ (jacyś Goncourt'owie, Duret'owie, Gonse'owie i nawet, o zgrozo, poważni, akademiczni Larroumet'owie) i poczynają „na olbrzymich trąbach reklamy“ grać na cześć minionej, barbarzyńskiej epoki Nipponu, wysławiać, naprzód, te pstre papierki, które zwycięzko niby współzawodniczą z naszemi wielkiemi płótnami w świecących ramach, a potem rozpływać się w „czułostkowych zachwytach“ nad „karykaturalnemi, kuglarskiemi jasełkami“ teatru japońskiego. Naturalnie, do tych blagierów i reklamiarzy paryzkich przyłącza się zaraz „garstka przesyconych kulturą i tęskniących za barbarzyństwem naiwnem modernistów“ (których nazwisk znający ich dziennikarz za żadną cenę nie wyjawi), zaczynają po wszystkich krajach brzmieć peany i dytyramby na cześć Sady-Yakko, Kawakamiego, „Kesy,“ „Gejszy i Samuraja,“ u nas nawet zjawia

się pan (i to nie modernista, owszem bardzo miły i *tout-à-fait mangeable* wróg metafizyk), który uparcie powtarza: „*ja* kocham i wielbię japończyków; czy wiecie, że JA kocham i wielbię MOICH braci japończyków?“ — i biedna Europa, lękając się, by jej nie nazwano „mamuciną“ lub „mydlarką,“ daje się porwać tym głosom, a choć pocichu wzdycha do „bardziej wzruszających“ Sudermannów i Hauptmannów, głośno nie śmie zaprotestować przeciwko „kultowi egzotycznego barbarzyństwa.“ Sada-Yakko, po tryumfach paryzkich, zjeżdża do Wiednia, który, marząc nieustannie choć nadaremnie o rywalizacyi z nadsekwańską stolicą (Naa, sagen sie mal, was ist Louvre im Vergleiche mit unseren Museen?), pragnie opornie się postawić tamtejszej „bladze.“ Jakże nieśmiało jednak, jak tchórzliwie odzywa się p. Max Burckhard: „Es ist ausserordentlich schwer, über den wirklichen Wert des Gebotenen ein Urtheil abzugeben. Ein Werturtheil kann nur auf Vergleichung beruhen, wir können aber nur mit dem vergleichen, was wir kennen, und dieses ist wieder *nicht* der Masstab für eine fremde in sich abgeschlossene Kunst.“ — U nas inaczej, my mamy odwagę, my czapkami zarzucać umiemy. Co nas obchodzi, czy znamy coś, czy nie znamy? Toć mamy „zdrowy rozsądek,“ toć mamy smak wyrobiony na Rostandach i Sudermannach, toć umiemy greków nawet adaptować i modernizować. Toć, zresztą, tak dawno już odkrył sekret Jagodyński: „Zkąd exystymacyi ludzie nabywają? Kto śmiele trzyma, śmiele też o tym trzymają.“ Orzekli tedy „śmiele“ wpływowi krytycy warszawscy: że repertuar teatru japońskiego składa się z samych „szopek,“ będących jakąś parodyą teatru, dobrych do areny cyrkowej lub na zabawkę dla dzieci, ale dla smakosza nie wytrzymujących porównania... z operetkami angielskiemi; że gra japończyków — z wyjątkiem scen konania, zresztą także pozbawionych „tchnienia poezyi, owej mgły leciutkiej, łagodzącej potworność strasznego momentu“ — jest wprost „karykaturalna i groteskowa,“ że w „syczącej“ mowie japońskiej niepodobna wyrazić „ani uczuć żadnych, ani uniesień, ani pieszczot,“ że mimika aktorów japońskich polega wyłącznie na chorobliwych drgawkach i akrobatycznych podrzutach; że słynny taniec Sady-Yakko, przyodzianej nie w lube króciuchne muśliny i trykoty, lecz w draperyjne, powłóczyste szaty, nie daje, skutkiem tych licznych zwojów i fałdów, miłego widowiska „wdzięcznych ruchów, przegięć, żywości *i t. p.*“; że waryatem trzeba być, aby porównywać „małą, chudą kobietę, uszminkowaną niefortunnie, o małych oczkach, dużych zębach i ptasim, piszczącym głosiku“ do Sary Bernhard, Réjane'y lub Duse, a „parskającego ustawicznie jak kot“ Kawakamiego do wielkiego artysty, jakim jest Mou-

net Sully; że, jednem słowem, zachwyty nad teatrem japońskim to prosta „blaga," albo też — podobnie jak zapatrzenie się prerafaelitów angielskich w „naiwne formy" prymitywów — wyraz „dekadenckiego" nawrotu do... barbarzyństwa.

Uff! — „Zachowaliśmy tedy właściwy sąd krytyczny, gdy inni tonęli w pochwałach i reklamie." Sądy warszawskie zrobiły nawet, zda się, wrażenie na japończykach, gdyż p. Sada-Yako, poznawszy je w tłómaczeniu, „zachowała wprawdzie głębokie milczenie," ale następnych dwu wieczorów „stała dłużej niż zwykle przy otworze w kurtynie." Naturalnie, odezwały się także odosobnione zdania (i my mamy swoich waryatów czy blagierów), że teatr japoński jest „zjawiskiem wysoce artystycznem w najszlachetniejszem tego słowa znaczeniu," że ma on wyraźny „koturnowy charakter," że chodzi w nim nie o żaden realizm fotografujący przejawy życia, lecz „raczej i jedynie o podniesienie tych życiowych przejawów do jakiejś wyższej potęgi," że owe „nieprawdopodobieństwa," tańce, walki fantastyczne są wspaniałą symbolizacyą stanów wewnętrznych, że „całość scen posiada wartość malarską, której nie znaleźć w naszych teatrach," że „Sada-Yakko i Kawakami są szczerymi i wielkimi artystami." Ale w naszem „zdrowem" społeczeństwie takie głosy, na szczęście, przemijają bez echa — i publiczność nietylko poszła za „wpływowymi" krytykami, ale nawet czynnie popierała ich mniemanie na przedstawieniach. Byłem na jednem z ostatnich. To, co na niem ujrzałem, dochodziło do szczytności. Miałem właściwie dwa widowiska: jedno przed sobą, drugie za sobą i naokoło siebie. Na scenie przewijały się baśnie i legendy miłosne i bohaterskie, grano poważnie, z przejęciem i przejmująco, tańczono hieratycznie, rozwiewano w szlachetnie faliste linie fałdy draperyj. W sali widzów odgrywano jednocześnie knajpowo rozbuchaną jakąś farsę, parskano głośno, lepiej od Kawakamiego, w najtragiczniejszych miejscach wybuchano śmiechem, rzucano sobie pachnące „gabinetem" dowcipy, chrypiały bez żenady głosy męzkie, piszczały rozkosznie ptasie sopraniki panieńskie. Wyszedłem nieco oszołomiony.

Co to było takiego? To umiejąca, lepiej od reszty Europy, zachować „właściwy sąd krytyczny," „cywilizowana" Warszawa przypatrywała się „barbarzyńskiej" Japonii.

Okładkę do zeszytu niniejszego narysował Konrad Krzyżanowski.

CHIMERA.

Kazimiera z Jasieńskich Zawistowska, poetka wielkiego, pierwszorzędnego talentu, zmarła w Krakowie d. 28 lutego r. 1902.—Śród pisarzy ostatniego pokolenia, była to jedna z najbardziej udarowanych natur twórczych: królewski przepych wyobraźni wiązał się w niej z dziecięcą prostotą i szczerością; rośna świeżość dziewczęca, „woniejąca stepem, łąkami i borem,“ — z ogniem namiętności i uniesień mistycznych, którym płonęła „jak sosna w słońcu rozgorzała“; pogoda i słodycz, w których brały początek pieśni „polne i zbożne, kwietne, słoneczne,“ — z nieukojonym jakimś smętkiem nostalgicznym. Wszystko to — w połączeniu z wysoką kulturą artystyczną, czcią zbożną dla sztuki i surowością wielką względem własnej twórczości — składało się na utwory uderzające przedziwną kobiecością i ogromną mocą uczucia, drgające życiem, krwią, a zarazem odsłaniające głąb' jakąś tajemną, zaświatową, skupione niesłychanie i pełne wnętrznie, a grające barwami, jak owe „szlaki zdobne na marginesach sztywnych psałterzy.“ — Uzupełniały tę twórczość oryginalną przepyszne tłómaczenia z Baudelaire'a, Vielé-Griffin'a, Mockel'a, Samain'a, Tr. Klingsor'a i innych. Przedsięwzięty w ostatnich czasach przekład wspaniałej tragedyi Saint-Pol-Roux'a: „La dame à la faulx,“ który mógłby być arcydziełem, śmierć przerwała w samym zaczątku. — Mała liczba tych prac znana jest do dzisiaj nawet wielbicielom talentu ś. p. Zawistowskiej, bo poetka drukowała po czasopismach niewiele i niechętnie, a z ogłoszeniem zbiorku własnego wahała się do ostatniej chwili. Teraz dopiero, zbożna pamięć najbliższych, zabiega około zupełnego wydania puścizny rękopiśmiennej.

Niedośpiewane zgasło młode życie. Ostatnie chronologicznie utwory świadczą, jak olśniewająco rozwijać się jeszcze i potężnieć zaczął talent poetki w chwilach bezpośrednio zgon niespodziany poprzedzających, — i nieodparcie snuje nam się po głowie, kiedy ją wspominamy, ów pełny melancholii niewymownej refren urwanych przedwcześnie i niepowrotnych rzeczy:

Look in my face; my name is Might-have-been;
I am also called No-more... (D. G. ROSSETTI).

Dla pamięci ludzkiej wszakże dość tego, co pozostało. Krótki sen życia ziemskiego przyniósł plon wspaniały — i poetka zmartwychwstanie z chwilą, gdy wydanie zbiorowe miłośnikom go udostępni. To też u drzwi grobu żegnamy ją z żalem, dobrą, serdeczną, siostrzaną, lecz jednocześnie witamy ją u progu tego nowego — w duszach ludzkich — żywota — —

...in perpetuum, soror, ave atque vale.



CHIMERA

revue mensuelle de littérature et d'art.

7, rue des Princes, Varsovie.

Sommaire du N-ro 9 Septembre 1901.

TEXTE: M. Markowska — *Les fils de la Vierge;* V. Berent — *Pourriture;* Th. de Banville — *Choix de poesies;* St. Wyrzykowski — *Ἕσπερε, πάντα φέρεις;* L. Staff — *La prière avant l'action;* Andre Gide — *Philoctète;* W. Sterling — *Sonnets;* S. Bytkowski — *le Prophète;* W. Nawrocki — *Sonnets royaux;* Arn. Böcklin — *Confessions;* H. Zbierzchowski — *Sonnets;* M. Zawiejska — *Fragments;* C. Wroczyński — *Strophes.* — *Revue du mois: Glosses, Art moderne, Bibliographie, Divers.*

PLANCHES HORS TEXTE: Aubrey Beardsley: *le Retour de Tannhäuser vers le Venusberg.*

DESSINS DANS LE TEXTE—de Auchentaller, Turbia-Krzyształowicz, Mehoffer, Niemczykiewicz, Okuń.

COUVERTURE de K. Krzyżanowski.

OGŁOSZENIA W „CHIMERZE".

„CHIMERA" przyjmuje w dziale ogłoszeń *jedynie* anonse takich firm i zakładów, które w bliższym lub dalszym stoją związku z produkcyą artystyczną i literacką (fabryki i składy papierów, farb, przyborów malarskich, narzędzi muzycznych, zakłady fotograficzne, litograficzne i wogóle reprodukcyjne, składy obrazów, firmy wydawnicze książek, nut i plastycznych dzieł sztuki, drukarnie, gisernie, księgarnie, antykwarnie, przemysł artystyczny, stałe i peryodyczne wystawy sztuki, sale koncertowe i odczytowe, sezony koncertowe i teatralne, akademie i szkoły sztuk plastycznych, konserwatorya i prywatne szkoly muzyczne i dramatyczne, lekcye prywatne z zakresu literatury i sztuki, pracownie do wynajęcia, adresy i ogłoszenia od artystów pochodzące, itd. itd.).

Cena ogłoszeń:

Na stronnicach poprzedzających tekst literacki, za wiersz petitowy lub jego miejsce . . . . **40** kop.

Na stronnicach po tekście literackim za wiersz petitowy lub jego miejsce . . . . **30** kop.

MERCURE de FRANCE

Litterature. Poesie. Theâtre. Musique. Peinture. Sculpture. Philosophie. Histoire. Sociologie. Sciences. Voyages. Bibliophilie. Sciences occultes. Critique. Litteratures etrangères. Portraits, dessins. Revue du mois. — Paraît tous les mois.

Redacteur en chef: *Alfred Vallette.*

Abonn: un an 24 fr., six mois 13 fr., trois mois 7 fr.

Paris. — XV, rue de l'Echaude, 15.

IL MARZOCCO.

Anno VII.

Firenze — Via S. Egidio, 16 — Firenze.

Conta fra i suoi collaboratori i più reputati poeti e prosatori d'Italia.

Prezzi d'abbonamento: anno l. 8, semestre l. 4, trimestre l. 3.

Fondatore: *Angiolo Orvieto* — Direttore: *Adolfo Orvieto.*

CHIMERA

WARSZAWA — ULICA KSIĄŻĘCA 7.
Skrzynka pocztowa Nr 457.

Dwanaście zeszytów rocznie, każdy objętości
10 — 12 arkuszy druku.

Redaktor ZENON PRZESMYCKI (MIRIAM)
przyjmuje we wtorki i piątki od 1-ej do 3-ej pp.
Administracya otwarta codziennie od 11-ej do 3-ej pp.

Rodzaje wydawnictwa i warunki przedpłaty.

WYDANIE ZWYKŁE

	w Warszawie	z przesyłką pocztową	za granicą
Rocznie	9 rb.	12 rb.	35 fr. 27 mar. 33 kor.
Półrocznie	5 rb.	6 rb. 50 k.	20 fr. 15 mar. 18 kor.
Kwartalnie	3 rb.	3 rb. 50 k.	11 fr. 8 mar. 10 kor.

WYDANIE WYTWORNE

na robionym dla CHIMERY grubym papierze żeberkowym.
w Warszawie: rocznie, 30 rb., półr. 15 rb., kwart. 7 rb. 50 k.
z przes. pocztową: „ 35 „ „ 17.50 „ 8 „ 75 „
za granicą rocznie 95 fr., 75 mar., 90 kor.

Cena zeszytu 9-go rb. 2.

Przedpłatę przyjmuje administracya (która odpowiada wtedy za regularne dostarczanie pisma), oraz wszystkie znaczniejsze księgarnie w kraju i za granicą. NUMERÓW OKAZOWYCH SIĘ NIE WYSYŁA. PROSPEKT NA ŻĄDANIE.

Wszystkie wydawnictwa nadesłane do Redakcyi (książki czasopisma, nuty, reprodukcye dzieł sztuki, przedmioty sztuki stosowanej i t. d.) będą, w miarę znaczenia, bądź wzmiankowane, bądź omawiane w dziale sprawozdań.

—

IL SERA RENDU COMPTE DE TOUTES LES PUBLICATIONS (LIVRES, REVUES, MUSIQUE, GRAVURES, OBJETS D'ART etc.). ADRESSEES A LA REVUE.

RĘKOPISÓW SIĘ NIE ODSYŁA. Autorowie, nie zawiadomieni w przeciągu dwóch miesięcy o przyjęciu ich utworów, mogą odebrać takowe, przed upływem pół roku, osobiście w Redakcyi, lub drogą pocztową po nadesłaniu kosztów przesyłki.
ODPOWIEDZI NA LISTY jedynie za nadesłaniem marki pocztowej.

Redaktor i wydawca ZENON PRZESMYCKI.

Druk Warszawskiego Tow. Akc. Artystyczno-Wydawniczego.